

# SPOŁECZEŃSTWO

→ Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny. ←

**Prenumerata:** w Warszawie: z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedynczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO” wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu kop. 15. NADESŁANE na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

Prosimy Szan. Prenumeratorów o regulowanie zaległej prenumeraty.

## TREŚĆ NUMERU.

Początek dzieła Snydera „OBRAZ ŚWIATA”, nowi prenumeratorzy  
otrzymać mogą za dopłatą 35 kop.

Kwestja uniwersytecka.  
Na widnokręgu politycznym.  
Odcinek: Legenda o św. Remigjuszu.  
Szaniec wolnej myśli.  
Międzynarodowy kongres oświaty ludowej w Paryżu.  
Deotyma  
Z literatury rosyjskiej.  
Echa:  
Z teatru.  
Wiadomości bibliograficzne.  
Metropolis — Sinclaira.

## KWESTJA UNIWERSYTECKA.

Na początku zeszłego roku szkolnego jeszcze, gdy ministrem oświaty był von Kaufman, rzucono pierwszą nasioną obecnej zawieruchy uniwersyteckiej w postaci „prawideł” 24 czerwca, z nich wyrosła tak dobrze znana w Rosji roślina — strajk uniwersytetów.

Podczas, gdy studenterja i profesura po całorocznej pracy wypoczywała, p. Szware pracował, pisał cyrkularze i wyjaśnienia, aż wreszcie, gdy rok szkolny się rozpoczął i młodzież, uspokojona po poprzednich burzliwych latach, powróciła w mury zakładów naukowych, nie poznała zupełnie autonomicznej wyższej szkoły: znikła Rada Starostów, która nadzwyczaj umiejętnie i dzielnie pomagała Radzie Profesorów w ciężkim zadaniu rządzenia kilkusetosobną masą młodzieży, znikły kasy samopomocy t. zw. ziomkostwa, zamknięto drzwi uniwersytetu przed wolnymi słuchaczami, a wreszcie i Rada Profesorów znalazła się w niebezpieczeństwie utracenia swoich najwybitniejszych członków.

Jeżeli do tego dodamy, że samo pojęcie autonomii uniwersyteckiej, nadanej ukazem z d. 27 sierpnia r. 1905, zostało zakwestjonowane i wyjaśnione w taki sposób, iż wiadomo było, czego pod tem słowem rozumieć nie należy, lecz najzupełniej nie wiadomo było, co właściwie jest jego treścią, to trzeba będzie przyznać, że zbyt wielki chaos zapanował w szkole wyższej rosyjskiej, aby zeń mógł kosmosporządek się narodzić.

Rzeczywiście tak się też stało: upłynęły niecałe 2 tygodnie od rozpoczęcia wykładów, a w uniwersytecie petersburskim wybuchł strajk: nie pomogła nic pierwsza odezwa profesury, w której ta ostatnia walczyła za autonomję uniwersytecką przyjmowała na swoje barki.

Za uniwersytetem poszła i znaczna większość wyższych zakładów w Petersburgu, i w całej Rosji.

Od rozpoczęcia strajku często zachodzą fakty, zmieniające całkowicie położenie rzeczy, a jednakże sprawa się nie wyjaśnia: myślę tu o dwukrotnem już zamykaniu uniwersytetu przez Radę Profesorów i otwieraniu go z rozkazu ministra oświaty, lub Rady Ministrów.

Pomiędzy profesurą petersburską, a młodzieżą zapanowały przez 2 lata „swobód akademickich” takie stosunki, o jakich dawniej marzyć nie można było, a i teraz nawet są one rzadkością. Z tego wynikała właśnie taktyka Rady Profesorów, która rozumiejąc rozpaczliwość, a może i bezcelowość takiego kroku, jakim był strajk, chciała doczekać się pewnego uspokojenia rozbudzonych namiętności politycznych i licząc na swój autorytet, rozpocząć wykłady w odpowiedniej chwili.

Nie udało się jednak Radzie taktykę swoją przeprowadzić: po 3-ech dniach uniwersytet był otwarty dla 30 — 40 słuchaczy, których główny kontyngent stanowią członkowie „związku narodu rosyjskiego” i prezesem studenckiej filji tegoż związku p. Szenzenem na czele.

Otwarcie uniwersytetu wpłynęło właśnie w ten

sposób, iż namiętności rozbudzo więcej: ta sama młodzież, która nauczona gorzkim doświadczeniem, postanowiła nie stosować żadnego rodzaju obstrukcji dla przeprowadzenia strajku, zaczęła zrywać wykłady w sposób t. zw. konstytucyjny t. j. że albo słuchacze zbierali się przed audytorjum, zamiast wewnątrz, albo też zapełniwszy je szczelnie, opuszczali natychmiast, gdy wchodził profesor. Stan taki trwał parę dni i ekscesów żadnych nie było. Tak teraz nawet i strajki odbywają się „konstytucyjnie“.

Widocznem jednak było, że długo taki stan trwać nie może, i oto część rady koalicyjnej (główny organ studenterji petersburskiej) zwołała wiec dla potrójnego rozpatrzenia kwestji strajku.

Było zupełnie możliwem, że już tego dnia, lub w najbliższym czasie strajk zostanie przerwany; aż tu na pomoc najgorętszym zwolennikom strajku zjawili się „związkowcy“ ze swoim kulawym wodzem.

Uniwersytet stał się rzeczywiście areną nadzwyczaj gorszących zajęć, jako ultima ratio — ze strony „związkowców“ wystąpił kij Szenkena.

Wiec został zerwany i strajk trwał w dalszym ciągu.

I znów Rada Profesorów postanowiła wypróbować swoją dawną taktykę: zamknąć uniwersytet na 1 tydzień, lecz już wczoraj wieczorem t. j. 17 października Rada Ministrów postanowienia profesorów nie zatwierdziła, motywując tem iż jest część młodzieży, która w strajku udziału brać nie chce. W tem że postanowieniu Rada Ministrów wskazuje, iż profesorowie nie wyzyskali wszystkich środków, jakie były w ich ręku dla przeciwdziałania strajkowi, mianowicie środków represji, wydalenia z uniwersytetu tych wszystkich „którzy sami oznajmili o tem, że uczyć się nie chcą“.

Wróciliśmy więc do tego samego punktu, z któregośmy wyszli przed miesiącem: — znów chaos.

Wśród młodzieży zaszły rozmaite zmiany: ze składu komitetu koalicyjnego wystąpiła t. zw. „mniejszość“ przeciwna strajkowi, utworzyła się grupa bezpartyjna, licząca około 400 ludzi, która pragnie przerwania strajku, a nareszcie utworzyła się frak-

cja październikowców w uniwersytecie, która chce całkowicie sprawę oddać w ręce Dumy.

Naturalnie, że te zmiany jakkolwiek bardzo ważne nie będą miały tego wpływu na masę, jaki by mieć mogły, gdyby nie prowokacyjna działalność związkowców; wspólnie z niemi występować nie chcą nawet najzagorzalsi przeciwnicy strajku, a tem samem zostawiają wolne pole działania tym którzy chcą strajk nadal utrzymywać.

Rada Profesorów jeszcze wierzy w siłę swego słowa, oto dziś t. j. 18 października zwróciła się z nową odezwą do studenterji, w której, wyrażając głęboki żal z powodu przykrych zajęć w uniwersytecie wskazuje na to, że zatrzymanie działalności jednego z niewielu centrów oświaty w Rosji i przy tem najważniejszego, jest samo przez się tak wielkim złem, że można je tylko potępić. Rada czując wielką odpowiedzialność, jaka leży na niej, wie zarazem, że bez pomocy ze strony samej młodzieży swego celu t. j. wznowienia wykładów, osiągnąć nie może. Następuje zdanie, które przytoczę w całości, jako nadzwyczaj charakterystyczne:

„Jeżeli wbrew nadziejom Rady, wszystkie jej starania wznowienia życia akademickiego okażą się nieskutecznymi, to wśród członków Rady zapanuje najcięższe i najboleśniejże w obecnej chwili zwątpienie, czy wogóle zasady autonomii uniwersyteckiej można będzie urzeczywistnić“.

Nie przypuszczam, żeby naprawdę profesura petersburska doszła do takiej ostateczności, żeby zmuszoną była nie ufać autonomii jedynie ze względu na młodzież z którą jest w jaknajlepszych stosunkach — zdanie powyższe obliczone jest chyba na wrażenie, jakie wyrwie wśród młodzieży.

Jeden błąd tylko popełniła profesura tak w tej odezwie, jak i w ostatniem zawiadomieniu o zamknięciu uniwersytetu: mówiąc o „przykrych zajęciach“, nie wspomniała ani jednym słowem o tem, kto był ich winowajcą.

Całe zachowanie się Rady jednak było takie, że młodzież ten błąd jej wybaczy i może w ostatniej chwili usłucha rozpaczliwego głosu swych „przewodników naukowych“.

wprowadzić go do przystani zbawienia wiecznego.

Syn Cylinji spędził pobożnie młodość w Laon, zdala od życia, ćwiczył się w świętych chrześcijańskich rozmowach. Za ledwie był przestąpił dwudziesty pierwszy rok życia, gdy uwolniła się stolica biskupia w Reims wskutek zgonu błogosławionego biskupa Bennaola. Ogromne zgromadzenie ludu powierzyło Remigjuszowi pieczę nad wiernymi. Remigjusz wymawiał się od tego brzemienia, zbyt ciężkiego, jak mówił, na wiek jego młody, lecz promień światła niebiańskiego zstąpił nagle na jego czoło i i płyn cudowny zwilżył jego włosy i owionął je cudownym zapachem“. Wobec tego biskupi kraju Reims, nie zwłócząc dłużej, za zgodą jednomyślną udzielili mu święceń biskupich. Zajawszy miejsce po św. Sykstyńcu, błogosławionym Remigjusz okazał się hojnym w dawaniu jałmużny, pilnym w czuwaniu nad duszami, żarliwym w modlitwach, doskonałym w miłości chrześcijańskiej, cudownym w swej doktrynie i świętym w każdym swym słowie. Wzbudzał dla siebie uwielbienie ludzi, jak gród wzniesiony na szczycie górskim.

W tym czasie Klodoweusz, król Francji, był poganinem wraz ze swem rycerstwem. Lecz odniósłszy zwycięstwo nad Niemcami przez wezwanie Imienia Jezusa Chrystusa, postanowił, na skutek próśb świętej królowej Klotyldy, przyjąć chrzest od błogosławionego biskupa w Reims. Gdy św. Remi-

ANATOL FRANCE.

## LEGENDA O ŚW. REMIGJUSZU.

(Z życia Joanny d' Arc)

W on czas pobożny pustelnik Montan, przebywający w kraju Laon, ujrzał chór Aniołów i zgromadzenie świętych i usłyszał głos wielki i słodki, który mówił: „Pan spojrzął na ziemię. Usłyszał jęki dźwigających kajdany; ujrzał synów tych, którzy zginęli; skruszy On ich okowy, aby imię Jego było zwiastowane między narody, aby ludy i królowie zjednoczyli się, by mu służyć. A Cylinja porodzi syna, który zbawi lud“.

Otóż Cylinja była stara i mąż jej Emil był ślepy. Lecz Cylinja, począwszy, wydała na świat syna i mlekiem, którem karmiła dziecko, natarła oczy ślepego ojca i ten natychmiast przejrzał.

Dziecię, zwiastowane przez aniołów, otrzymało imię Remigjusza (Remi), co ma oznaczać wiosło, (Kame), gdyż sądzonem mu było, jako wiosłem dobrze wykrojonem, kierować na burzliwym morzu życia doczesnego Kościołem Bożym, a szczególnie Kościołem w Reims, i przez swe zasługi i modlitwy

Gdyby jednak nie usłuchała, trudno było by się jej dziwić. W ostatnich dniach na łamach „Now. Wr.“ wydrukowano półoficjalnie treść nowej ustawy uniwersyteckiej, nad którą ma w jaknajbliższym czasie debatować Duma.

Gdyby ten projekt ministerjalny miał stać się — prawem, znikł by i ostatni cień autonomii. Wprawdzie nie było by już niejasności, ale rzeczywistość była by tak „wyjaśniona“, że, mając ją w perspektywie, młodzież poszła by może dalej po niebezpiecznej drodze, na jakiej jest obecnie.

Tymczasem ta nowa ustawa jest dopiero projektem, a podobno nawet i ministerjum chce ją trochę poprawić i wezwie do pomocy rektorów Borgmana i Maniłowa.

Odezwa Rady Profesorów i postanowienie Raministrów zjawily się dziś w niedzielę, dopiero więc jutro młodzież będzie mogła się wypowiedzieć.

Czy powie „stójmy!“ i oczekiwać będzie przy pracy rozstrzygnięcia sprawy przez Dumę, czy też trwając dalej w strajku, „może nam przyniesie komet wichry i płomienie“, trudno to dziś rozstrzygnąć.

Petersburg 18/X.

Stefan Gr.

P. S. Nieznaczną większością głosów postanowili studenci uniwers. petersb. strajk przerwać i w d. 26 b. m. rozpocząć zajęcia. W uniwersytecie moskiewskim także bezrobocie zakończono.

## NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

### TRZY KONGRESY.

W ostatnich dniach, tuż przed otwarciem Izby, odbyły się we Francji 3 kongresy trzech rozmaitych organizacji i, rzecz znamienna, wszystkie kongresy skoncentrowały swoją uwagę na jednej kwestji —

głusz dowiedział się o tem pobożnem życzeniu, wyłożył królowi i ludowi, jak przez wyparcie się szatana, dzieł jego i pychy, winno się wierzyć w Boga i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego. A ponieważ zbliżała się uroczystość Wielkiej Nocy, nakazał zachowanie postu zgodnie z obyczajem wiernych.

W dzień męki Pana naszego, a w wigilję chrztu Klodowusza i baronów państwa, biskup udał się z samego rana do króla i królowej i zaprowadził ich do kaplicy, poświęconej błogosławionemu Piotrowi, księciu apostołów. Kaplica nagle napelniła się światłem tak olśniewającym, że zaćmiło ono blask słońca i z jasności wyszedł głos, który mówił: „pokój z wami — jam jest, nie obawiajcie się i trwajcie w miłości mojej“. Skoro słowa te przebrzmiały, światło znikło, lecz w kaplicy pozostał zapach, tchnący słodczą niewypowiedzianą. Wtedy podobny do Mojżesza, promieniając blaskiem oblicza i wewnątrz przeniknięty jasnością niebiańską, święty biskup prorokował i tak mówił: „Klodowuszu i Klotyldo, potomkowie wasi rozszerzą granice państwa. Wzniosą kościół Chrystusowy i pokonają narody obce, byle tylko nie utracili cnoty, nie zбочyli z drogi zbawienia, nie zeszedli na ścieżkę grzechu, nie wpadli w sidła tych grzechów śmiertelnych, które wywracają państwa, pozbawiają je władzy na korzyść wroga“.

Tymczasem służba sporządza drogę od pałacu królewskiego do kaplicy; rozwieszają kołdry, drogie

kwestji reform społecznych i stosunku do nich socjalizmu. Mamy na myśli kongres partji radykalnej w Dijon, kongres Powszechnego Związku Pracy (Confédération Generale du Travail) w Marsylii i kongres partji socjalistycznej Francji w Tuluzie.

W latach ubiegłych uległo we Francji przewartościowaniu zupełnemu wiele wartości politycznych. W pierwszym rządzie partja radykalna, będąca wyrazem dążeń i interesów mieszczaństwa francuskiego, zrzuciła z siebie łuskę ideologii humanistycznej i przyjęła oblicze, właściwe klasie, którą reprezentuje: stała się stronnictwem konserwatyizmu społecznego, które na reformy conajwyżej „się zgadza“, jako na zło konieczne, dla uniknięcia wstrząśnięć społecznych. Po długich latach walki, w której proletarjat francuski przyjmował udział niepośledni, mieszczaństwo ostatecznie odniosło zwycięstwo nad feudalizmem arystokratycznym i klerykalnym i utrwaliło się u steru rządów. Wprawdzie dzieli ono władzę z burżuazją finansową, która trzyma w swoich rękach władzę ekonomiczną, ale o tą mieszczaństwo nigdy nie było zazdrosne — brak mu bowiem niezbednego uświadomienia klasowego.

Natomiast pierwszym pragnieniem po dokonaniem zwycięstwa było uwolnienie się od wczorajszych przyjaciół z „lewicy“, którzy gotowi je pociągnąć w przyszłość daleką a niebezpieczną. Wyrazem najprawdziwszym tej nowej psychiki jest obecny rząd z Jerzym Clemenceau na czele. Jest to najdłużej trwające ministerjum od czasu założenia trzeciej republiki, co jest właśnie dowodem panowania klasy jednolitej i skonsolidowanej. A jednocześnie sam p. Clemenceau, który przez całe życie swoje walczył przeciwko reakcji w imię nieskończonego postępu ludzkości, stał się dziś jako minister ostoją wszelkiej reakcji.

Na kongresie rozlegały się głosy przeciwko reakcyjnej polityce Clemenceau, została nawet przeprowadzona rezolucja w duchu dawnego radykalizmu, głosząca związek stronnictw lewicy, stwierdzająca, że wszystkie reformy dokonane zostały przy pomocy socjalistów, a żadna nie będzie dokonana bez ich poparcia. Ale rezolucja ta przedstawiona

tkaniny, pokrywają niemi domy po obydwóch stronach ulicy; zdobią kościół, namaszczają kaplicę balsamem i wszelkiego rodzaju wonnościami. W nadmiarze łask Bożych lud wierzy, że już oddycha rozkoszą raj. Pochód wyrusza z pałacu; duchowieństwo na przodzie wraz ze świętymi i ewangeljami krzyżami, chorągiewami, śpiewając hymny i kantyczki; następnie biskup, prowadzący króla za rękę; wreszcie królowa wraz z ludem.

Podczas drogi król zapytał biskupa, czy to jest królestwo Boże, które był mu obiecał? — Nie, — odrzekł błogosławiony Remigjusz, — lecz to jest wejście na drogę, która tam prowadzi.

Już byli przybyli do kaplicy, gdy kapłan, niosący oleje święte, zatrzymany przez tłum nie mógł dosięgnąć świętej chrzcielnicy, wskutek czego przy udzielaniu błogosławieństwa zabrakło olejów świętych, a stało się to przez umyślne zrzucenie Pana. W tej chwili kapłan najwyższy wznosi oczy do nieba, modli się w milczeniu i ze łzami. Niebawem opuszcza się gołębicą, jak śnieg biała i w dziobie trzyma naczynie, pełne olejów świętych, z nieba zesłanych. Rozplywa się w przestrzeni aromat cudowny, który upaja obecnych rozkoszą, przechodzącą wszystko, co zaznali byli do owej chwili. Święty biskup bierze naczynie, zrasza olejami wodę do chrztu i gołębicą na le znika.

Uniesiony radością na widok tak wielkiego cu-

przez grupę Combesa (autorem jest Pelletan), jakkolwiek została uchwalona, to przecież znać było, iż większość kongresu pokłada nadzieje na rząd p. Clemenceau, przeciwko któremu rezolucja była wymierzona, a pierwsze posiedzenia Izby dały już dowód, jak dalece stronnictwo radykalne przekłada konserwatyzm nad jakimkolwiek bądź reformizm. I, jeżeli grupa Combesa, dzięki jakiemś kunsztownemu manewrowi dojdzie do władzy, będzie i ona musiała zastosować tę samą politykę reakcyjną i antyrobotniczą.

Drugim z kolei był kongres Powszechnego Związku. I tu widzimy pewną zmianę nastroju. Charakter przemówień stracił bardzo wiele z tego powodu, że mówcy powstrzymywali się od krytyki działalności kierowników związku ze względu na to, że znajdują się w więzieniu, a Clemenceau czycha tylko na argumenty przeciwko nim wychodzące z łona samych robotników. Tego zadośćuczynienia kongres nie chciał mu dać i dlatego rozważał sprawy zasadnicze, możliwie pomijając palącą sprawę dnia. Ale i tu tendencje się starły na gruncie zagadnienia: reformy a rewolucja. Był czas, kiedy we Francji rządy zmieniały się codzień niemal, kiedy z dnia na dzień spodziewano się zmiany ustroju politycznego, a conajmniej jakiegoś nowego kataklizmu. Nic dziwnego, że w tym czasie powstały wśród robotników prądy myślowe i organizacyjne, mające na celu dokonanie rewolucji społecznej, wierzące, że kilka jednostek energicznych i zapalonych potrafi pociągnąć za sobą tłumy, które dokonają przeobrażenia ustroju społecznego. Czasy te minęły jednak, od lat 10 republika mieszczańska z każdym dniem coraz bardziej się utrwala i wzmacnia i niemasz w tej chwili siły, która zdołała by się jej przeciwstawić. W takich warunkach z coraz większą jasnością musiała występować konieczność pracy systematycznej nad trwałem i gruntownym wybudowaniem organizacji robotniczych, których zadaniem na dziś jest walka o potrzeby codzienne, chodziło tylko o to, aby organizacje jednocześnie dostosować do celów dalszych i zasadniczych. Słowem wieczne zagadnienie pomiędzy „ruchem a celem ostatecznym“, które przed laty, w organizacjach syndykalistycznych zdawało się być rozstrzygnięte, wyłoniło się nanowo. Poraz pierwszy może na tym kongresie

.....  
du, łaski Pana, król wyrzeka się szatana, pychy i dzieł jego, żąda usilnie chrztu i skłania się nad źródłem życia.

I odtąd królowie Francji są namaszczeni niebiańskim olejem, przyniesionym z nieba przez gołębicę. Święte naczynie, które go zawiera, jest przechowywane w kościele Św. Remigjusza w Reims. I za łaską Boga naczynie to w dzień poświęcenia zawsze jest pełne.

*spolszczył Władysław Gacki.*



wysłuchano spokojnie mówców, wskazujących na konieczność utworzenia solidniejszych organizacji, na uposażenie je w kasy zasobne. Bo też wyszkoleniem organizacyjnym ruch francuski nie mógł się nigdy pochwalić; za wszystko musiał tam wystarczyć zapał i świadomość klasowa. Ostatnie wystąpienie Konfederacji, niepowodzenie strajku powszechnego, musiały wywołać refleksje wśród działaczy syndykalistycznych.

Syndykalizm francuski posiada jeszcze jedną cechę: jest on niejako apolitycznym — nie w tem znaczeniu, w jakim były apolitycznymi związki angielskie, a są do dziś dnia organizacje zawodowe amerykańskie, które głoszą za kandydatami do parlamentu, należącymi do stronnictw burżuazyjnych i ruchowi robotniczemu wrogich — organizacje francuskie zawsze zajmowały się polityką, ale przeciwne były przenoszeniu tej polityki do parlamentu. Są one przeciwnikami akcji parlamentarnej, — akcji, szerzącej, ich zdaniem, złudne nadzieje, pozbawiającej masy samodzielności. Akcji tej przeciwstawiają oni „samoczyn“ — „action directe“ — akcję bezpośrednią mas. Ta nieufność do parlamentu daje się w dostatecznym stopniu wytłomaczyć powolnością maszyny parlamentarnej wogóle (niektóre prawa robotnicze wędrowały przez dwadzieścia lat po komisjach) oraz karierowiczowstwem parlamentarzystów, którzy na barkach robotniczych wstępowali do parlamentu, z którego przedostawali się do rządów, zdradzając w najnikczemniejszy sposób interesa robotników — ostatnio Briand, twórca teorii strajku powszechnego, inscenizuje, jako minister sprawiedliwości, procesy tendencyjne przeciwko przywódcom ruchu robotniczego. Parlament wszędzie gdzie posiada władzę prawdziwą, jest szkołą wszelkiego renegeizmu, a zwłaszcza we Francji, gdzie korupcja polityczna ma już tradycję, nie też dziwnego, że zniechęcił on do siebie robotników. Antiparlamentaryzm ten doskonale się połączył z indywidualistyczną antypaństwowością i stąd ruch nawskroś kolektywistyczny i socjalistyczny otrzymał nazwę anarchystycznego. Ten radykalizm antiparlamentarny i antypaństwowy ma już swoich teoretyków w osobach Sorela i Lagardelle'a — ten ostatni prowadzi działalność praktyczną i na ostatnim kongresie w Tuluzie (jest on członkiem partji i niezupełnie neguje działalność parlamentarną) dawał wskazówki, jak wcielić w życie idee syndykalizmu, między innymi również na drodze parlamentarnej: należy reformy społeczne wypracowywać w kierunku dla państwa destrukcyjnym, nie zaś konstrukcyjnym.

Jeśli „aktion directe“ zrozumieć nie tylko jako bezpośredni nacisk na władzę państwową drogą masowego ruchu i bezpośrednio zdobywanie lepszych warunków pracy drogą walki zawodowej, — ale także jako bezpośrednią działalność na polu organizacji spożycia, wytwarzania oświaty, ubezpieczeń, etc., — to i na tem polu syndykalizm francuski nie może się niczem pochwalić — przykładów organizacji nie dał on. Pod tym względem kongres ostatni, nie wyrzekając się swoich idei podstawowych i kierowniczych, dał pewien bodziec.

Wreszcie kongres w Tuluzie. Po trzech latach panowania reakcji i rządów Clemenceau, który całą swoją energię i swój spryt skierował przeciwko socjalizmowi, partja robotnicza widziała się zmuszoną zjednoczyć swe siły i skonsolidować swoją działalność. Istotnie, wada narodów romańskich, brak zdolności organizacyjnej, i tu znalazła swój wyraz — niema mowy o takiej potężnej budowie, jak organizacja niemiecka. Ani tych środków materialnych, ani tej zwartości, ani wyszkolenia. Najrozmaitsze

prądy ścierają się z sobą — począwszy od syndykalistów — Hervé, Lagardelle, Jobert — i kończąc na skrajnych reformistach, konsekwentnych uczniach Bernsteina i Valona. Pośrodku mamy nieprzejednanych marksistów, skostniałych przeciwników wszelkiego ruchu nie układającego się w ramki ortodoksalnej doktryny, z Guesdem na czele, oraz przeważającą grupę pod kierunkiem Jaurès'a, głoszącego i reformy i rewolucję, dla którego jedyną i zawierającą wszystko wytyczną linią jest żywa i energiczna działalność wszystkich kierunków, na wszystkich polach; nie poszukuje on formuły, mogącej zjednoczyć wszystkie tendencje — taka formuła będzie kompromisem, lecz wspólnego wytyczenia wszystkich sił przeciwko reakcji. Narazie zaznaczamy tylko, że cel jego — zjednoczenie moralne — został w znacznej części osiągnięty.

*Almar.*

## SZANIEC WOLNEJ MYŚLI.

Pojęcia, któremi najczęściej operujemy, bywają najmniej ustalone. Są one jak kryształy, w których mieni się coraz to inne światło. Treść mają płynną i nieuchwytną, bijącą rytmem tych samych fal i odciemi, które przebiegają po zmiennej powierzchni życia. A prócz tego łączą się one i krzyżują ze sobą w tysiącznych węzłach pokrewieństwa, splecione chaosem oddziaływań wzajemnych, wpływów i analogji. Takie zaś węzły pojęciowe porasta sieć bliższych i dalszych skojarzeń, które nakształt ech tysiąckrotnie złamanych głośną i pochłaniają w sobie czystość każdej odrębnej idei.

Obnażenie treści zasadniczej pojęcia z osłony natotów pokrewnych wymaga najsubtelniejszych narzędzi, jakimi władza analiza, a dobitne i ścisłe ujęcie jego istoty stanowi wogóle o kierunku i wynikach rozumowania.

W praktyce powszechnej doraźnego myślenia, nie odróżnia się religji od kościoła, ateizmu od antyklerykalizmu, uroszczenia jednostki miesza się z polityką instytucji, biorąc współzależność zjawisk za ich tożsamość, przejaw pojedynczy stawiając pod godło zasady, albo nie oddzielając funkcji właściwej jakiegoś organu od potrzeby, która go stworzyła i której ma on zadość czynić.

Zespolenie, a raczej beznadziejne powikłanie tych pojęć, obok motywów psychologicznych ma swój wykładnik dziejowy: tkwi ono korzeniem krętym a głębokim w szlacheckim chaosie Rzeczypospolitej, wyrastając z interesów ograniczonej i nielicznej garstki żywiołów, które dobro własne mianowały dobrem narodu.

To też kiedy przed laty 30-stu pozytywiści polscy wystąpili do walki z klerykalizmem, powitano ich bezwzględna salwą potępienia, wprost jako wrogów i zaprzających ojczyzny. Okrzyknięto ich usiłowania za niebezpieczne dla równowagi społecznej, przedewszystkiem zaś zgubne dla ideałów religijnych i moralnych, chociaż oni to pierwsi rzucili w naszym kraju hasło autonomji etyki i kuli ołtarze dla niej w sumieniu człowieka.

Od zamachu pierwszych ciosów młodzieńczej i żywotnej myśli wzburzyła się i drgnęła cała potęga ciemnoty w okopach stuletniego zastoj. Stokroć mocniej i szerzej wsparła się milionowym ciężarem bezwładu na zagrożonych stanowiskach.

Podjęto wówczas najniefortunniej w świecie romantyczną antytezę rozumu i uczucia, która w sposób potępieniący kołaczę się w zrujnowanych umysłach do dzisiaj: według niej „przeszłość“ nie może ulec przewyciężeniu, żyje bowiem ofiarą serca, którego prawa są wieczyste, nieprzedawnione; natomiast próby i kie-

runki reform są owocem rozumowań, obcych zgoła istocie życia, pełnych zastrzeżeń i wahań, a pozbawionych tej sankcji konieczności, którą ma w sobie siła naturalnego trwania.

Działalność postępu, zmierzającą pod hasłem pracy ku światłu i przyszłości, napiętnowano jadem szyderstwa i wzgardy. Nie szczędzono względem jej przedstawicieli zarzutów i podejrzeń, na jakie zdobyć się potrafi jedynie tłum rozpieszczony wiekami iluzji i w okrucieństwie rozpaczy rzucony nagle nad urwiskiem zagłady.

Morzem nienawiści i ohydy usiłowano odciąć szczupły zastęp szermierzy od wielkiej, zwartej masy społecznej. Atoli donośne argumenty krytyki nie utonęły w zgłętku opozycji; szerząc się echem nowych prądów obudziły i pchnęły potężnie naprzód proces krystalizacji pojęć. Jednocześnie żywa dyferencjacja umysłów tworzyła szeregi pojedynczych ośrodków fermentu, które pomnażały wielokrotnie siłę burzącego młota krytyki. Opór większości był zacięty i zapalczywy, ale niedługotrwały. Już w pierwszych latach walki przeważna część ogółu poddała się postulatowi reformy, znacząc pierwsze ustępstwo a zarazem nowy etap na szlaku wielkich przełomów jutra.

Tem ustępstwem była idea odpowiedzialności osobistej kleru przed sądem opinji, idea, której nie kwestjonowano nigdy, którą nawet popierano w teorii, ale pod warunkiem, że pozostanie nazawsze teorią. Czynną jej realizacja stała się właśnie pierwszą pozycją postępu. Zdobyta po uporczywej obronie, tak dalece tkwiła w dążnościach epoki, iż zyskała rychło aprobatę powszechną.

Od owej chwili kontrola społeczna jęła docierać do jednostek, ale po dawnemu rozbijała się bezsilnie o karby organizacji. Kapłan — sługa boży — narówni z ogółem śmiertelnych począł odtąd podlegać krytyce, wszelako Kościół miał pozostać nadal nietykalnym, wolnym od sądów i próbierzy. Że jednostka nawet wybrana może mijać się z prawdą albo cnotą, to już nie raziło nikogo, natomiast instytucja w oczach ogółu musiała utrzymać na czas pewien jeszcze nieodwołalność swych orzeczeń.

Wymagała tego naturalna logika owczesnego światopoglądu, który w przeciwnym razie, jak mniemano, utraciłby wszelkie podstawy.

Każde niemal pokolenie ma w swojej logice jakieś prawdy, jakieś nienaruszalne pewniki, bez których życie traci dlań sens i doręczność, „znamiona wyższych przeznaczeń“ — jak mawia prof. Straszewski. O znamiona te ludzie gotowi staczać zapasy śmiertelne, niepomni, że ich „logika“, w której żelaznych obręczach okuli i zwarli niejako cały wszechświat, przeminie wraz z niemi, poczem następne pokolenie dźwignie ideję nowych „konieczności“, zarówno niezbędnych, jakkolwiek również tymczasowych.

Kościół w epoce minionej był taką „koniecznością“ w światopoglądzie społecznym. Zajmował tam tyle miejsca, iż znikając pozostawiłby lukę, do której wypełnienia nie wypracowano jeszcze treści.

Wyświetlanie nadużyć duchowieństwa zwalczano zrazu jako zamach na stanowisko Kościoła; skoro jednak doświadczenie wskazało, że stanowisko jego na tem nic nie cierpi, przeciwnie, — zyskuje na powadze, chwycano się metody tej z niesłychaną energją. Inicjatywę i odpowiedzialność osobistą uwydatniono tem silniej, aby rozgrzeszyć wolę zbiorową. Obarczono sumienie jednostki, by ocalić nieskazitelność „Systemu.“

Wszystko co utrzymuje się przy życiu, czy to jako byt osobowy, czy jako instytucję, istnieje pod warunkiem ustawicznie napiętych sił samoobrony. Instykt samozachowawczy Kościoła polega na tem, aby w obrębie swego istnienia pokazać dobro jako regułę, zło jako wyjątek.

Taktyka apologetyczna wobec Kościoła stosowa-

na odbiła się i na innych żywiołach społecznych zrozumiano, iż godność wszelkiej korporacji wzrasta niepomiernie przez zaostrenie kontroli nad jednostką. W rezultacie zapuszczono całkiem krytykę organizacji zbiorowych i zogniskowano uwagę wyłącznie na działaniach osobnika.

Pośrednio oświetlamy tu jedną ze stron naszego indywidualizmu, który w krótkim przebiegu wybujał aż do hipertrofji. U źródeł jego dałoby się wykazać sporo pobudek różnorodnych, których zgłębiać obecnie nie możemy. Nawiasowo tylko potrącimy o pytanie, warte dyskusji szczegółowej, w jakiej mierze i w jakich wpływach odbił się na genezie indywidualizmu naszego wszechmocny „regime“ czterdziestoletniej strategji, która celowo rozbiła w społeczeństwie wszelkie ośrodki organizacji, wszelkie kadry zbiorowości, łowiąc wszędy oraz izolując inicjatywę osobistą.

To jedno nie ulega wątpliwości, że indywidualizm u nas był jeno prądem literackim, że wyrósł nie z granitowej woli jednostek, władających żywiołami tłumu, ale z osłabienia i dezorientacji gromady, rozbitej na atomy, okolone pustką nudy i zniechęcenia.

Skąd zalew pesymizmu, który falami skarg i żalobą smutku wdziara się aż na szczyty literatury. Zresztą pesymizm i optymizm nasz kroczyły śladem jednakiej metody „Trylogja“ Sienkiewicza wysnuta z przeszłości dla „pokrępienia serc“ zdradza tę samą koncepcję indywidualizmu co świecące urokiem Nirwany „Próchno“ Berenta! Dla Sienkiewicza zarówno jak dla Berenta istnieje tylko jednostka, tylko ona posiada byt rzeczywisty; w niej złożone są własne jej wyroki, przeznaczenia; początek i kurs jej bytu, wszystkie węzły możliwości, które tylko od niej zależą rozwinąć lub przeciąć. Świat, społeczeństwo, klasowość, formy państwowe i prawne — znikają. Jeśli zaś ukaza się niekiedy w groteskowej perspektywie, to jedynie jako widmo oporu dla natchnień jednostki, która niedbałym gestem tej że chwili strąca je w nicość. Pozostają indywidualia: wykwintne lub nieokrzesane, złe i dobre, udolne i nieudolne. W obrazach „Trylogji“ widzimy przeciwstawienie typu magnatów „złych“, i „dobrych“, którzy treścią osobistych przywar i zalet wyczerpują dramat całej epoki; historyczny ustroj Polski XVII wieku pozostał na stronie, przemilczany jako formalność zbyteczna. W „Połanieckich“ mamy podobną galerję złych i dobrych przedsiębiorców. Zasadnicze podłoże warunków współczesnych, związane z tragicznym zagadnieniem pracy, zostaje znowu wyeliminowane. Jest to tak heroiczne uproszczenie kwestji, że graniczy... z jej niepojmowaniem.

Powoli rosła wszakże energja oświaty w masach ludu; na wierchołkach inteligencji wiedza, niosąc pochodnię kultury, ujmowała w świetlanych dłoniach ster życia.

Przedział między jednostką a organizacją, wykopany sztucznie, wyrównywał się niepostrzeżenie, ale już nie w sensie dawnego pomieszenia pojęć. Głębsze wnikięcie w procesy społeczne odsłoniło tajemnicze elementy życia zbiorowego, niewidzialnym uciskiem krępujące osobowość człowieka. Wówczas do granic właściwych sprowadzono udział inicjatywy osobniczej. Przekonano się dowodnie, a przekonanie to potęguje się nieustannie po dzień dzisiejszy, — że człowiek pozostaje stale w stosunkach współdziałania z otoczeniem form społecznych, na które wywiera wpływ, ale którym i ulega z koniecznością. Sam bywa twórcą, ale i produktem środowiska niemal w każdej sprawie życiowej, testatorem czynów nieśmiertelnych, ale i wykonawcą nieświadomych zrzędzeń.

Najcisłej wszakże uwydatnia się bezpośrednia przemożna łączność osobnika z instytucją najbliższą dlań, która go wychowuje, oświeca i karmi, bez względu

zresztą na charakter instytucji, państwowy, społeczny czy duchowny. Wobec tej organicznej przewagi instytucji nad jednostką, stało się jasnym, że drogę ku podniesieniu jednostek, skierować należy poprzez reformę systemu. Dla owocnej, i bogatej siejby niedość kształcić doborowe ziarno, trzeba oczyścić przedewszystkiem glebę.

Myśl społeczna która oświetlając lokalne a zgoła nieewangeliczne przymioty kleru, cofała się dotąd przed powagą Kościoła, jakby szanując w nim ostatnią „istność metafizyczną“, teraz nowym zamachem krytyki objęła w posiadanie cały obszar jego władzy, dogmatyki i tradycji. Lecz każdy krok postępu ma w sobie element zaprzeczenia, będący zawiązkiem opozycji. Na wzór tego rozdziału, który niesłusznie wyodrębnił jednostkę z organizacji, przeprowadzono teraz granicę absolutną między Kościołem a religją. Podobnie jak potępiano dawniej jednostkę, aby oczyścić kościół, potępiono obecnie kościoły, aby wywyższyć religję.

Pierwotny chaos pojęć, jaki stwierdziliśmy na początku, podlega niezaprzeczonej ewolucji, dzięki różnicowaniu się coraz nowych pierwiastków, lecz każda wyodrębniona pozycja, jak gdyby wydartą z mroku nagłym rzutem wysiłku, odbiega natychmiast na przeciwny biegun stanowiska, zrywając węzły nawet tych łączności, które istniały oraz istnieć z natury rzeczy musza.

Opinia myślowa, pozostawiając historykom pracę oceny, o ile w dawnych wiekach kościół był rzeczywistym naczyniem ducha bożego, zgodziła się powszechnie, że dziś stał się dlań więzieniem, gdzie gasną ideje i kamienieją uczucia. Strona obrzędowa, akcesorje i symbole rytuału spadły do szeregu efektów wrażeniowych, zatrzymując znaczenie li tylko muzealne. Duch złamawszy tamę drobiazgów wyrwał się nakoniec z dławiącej, nabalsamowanej chińszczyzny. Na gruzach rozkładających się kościołów z ich przedsiębiorczą konkurencją i podkopującym się wzajem autagonizmem mocarstwowym, ogłoszono niepożytość Religji.

Ale natychmiast wystąpiło z nieznaną przedtem mocą nowe zagadnienie, a raczej od tej dopiero chwili istnieć poczęło właściwe zagadnienie religji, przerażające w bolesną ranę kryzysu, który przeżywają pokolenia współczesne.

Rzeczywistość ujawniła obszar niezgruntowanych komplikacji.

Odrzucenie formalistyk obrzędowej trudności nie przedstawia; wszakże głosząc kult czystej z form wyzwolonej religji, niepodobna uniknąć pytania: jaką religję propagujemy, bo streszczając nawet prądy pomniejsze w wielkich łożyskach historycznych, dostrzegamy odmiany zasadniczo odrębne, wrogie sobie i wyłączające się nawzajem. Jedność i powszechność wierzeń okazała się złudzeniem powierzchownem. Proces miniony nie zawiera bynajmniej wskazówek co do wspólności źródeł, kierunku zaś terażniejszości nie upoważnia do wiary w zbieżność celów.

Ludzkość w najgłębszych tajniach świadomości nie wątpiła nigdy o istnieniu oraz wartości Ideału, nigdy na długo nie traciła wiary w majestat dziejowego pochodzenia, ale zawahać się musiała, znajdując miast słonecznego gościńca, błędne kolisko dróg samotnych, urywających się nad głębią.

Obecny stan religji, w postaciach, które przekazała nam historia, nikogo zadowolnić nie może. Zwróćmy uwagę na usiłowania najwybitniejszych geniuszy epoki, pragnących spotęgować i pogłębić życie religijne. Żaden nie opiera się na terenie terażniejszości. Jedni wybiegają w przyszłość, jak: James, Lotze, Alb, Ritschl, Matthew Arnold, oczekując od niej wcielenia upragnionych idej; inni sięgają w czasy minione, jak: Tołstoj, R. Eucken, A. Loisy, tudzież cały zastęp modernistów

katolicyzmu, zamierzając z pod pyłu wieków dobyć spowiewaną „prawdę“. Nie braknie wołań ku odrodzeniu religij, świadczących o jej aktualnym rozkładzie, hasła wskrzeszenia form dawnych krzyżują się z koniecznością tworzenia form nowych. Powszechny prąd wymaga, aby przewyciężyć terażniejszość: ale czy skrzydłami olbrzyma rozedrzyć zesłone przyszłości, czy cofnąć się ogromnym krokiem w stecz ku świetlanym cudom Ewangelji?

(Dok. nastąpi.)

W. Rzymowski.

## MIEDZYNARODOWY KONGRES OŚWIATY LUDOWEJ W PARYŻU.

Sprawa oświaty ludowej jest dziś niewątpliwie na pierwszym planie wszelkiej pracy społecznej, zajmują się nią zarówno rządy jak i stowarzyszenia kulturalne lub filantropi prywatni. Zdawałoby się mogło, że wobec tak wyteżonych usiłowań, oświata czynić będzie znakomite postępy, a wraz z oświatą dokonywać się będzie przeobrażenie ustroju społecznego. Tymczasem rezultaty stosunkowo są zadziwiająco drobne, a postęp nader powolny. Z jednej strony owe ciemne masy pochłonięte ciężką walką o byt, nie mogą korzystać z oświaty, — z drugiej zaś strony ci, którzy biorą na siebie zadanie jej krzewienia, czynią to niemal zawsze dla swoich klasowych interesów. Jeśliby jeszcze kto miał w tym względzie jakieś złudzenia, to kongres paryski przez cztery dni swych obrad i uroczystości był wymownie charakterystycznym dowodem. Panowie ministrowie, senatorzy i deputowani w krasomówczych zapędach nie zapominali nigdy wyrazić swej nadziei, że przeciw ta oświata wydać musi pożądane owoce: — „sprovedzić zgodę i harmonję tam, gdzie dziś panują ekonomiczne zatargi, ...sprostować błędne pojęcia, zakorzenione w robotnikach, ...zaszczepić w ich sercach miłość i dobroć!“ A więc chodzi jedynie o to, by te rzesze pracujące stały się bardziej uległe, więcej zadowolone ze swego losu i wdzięczne za doznane dobrodziejstwa...

Kongres paryski był drugim zjazdem międzynarodowym, pierwszy bowiem miał miejsce dwa lata temu w Medjolanie, urządzony staraniem towarzystwa „Umanitan'a“, zgromadził około 500 uczestników. Zapowiedź zjazdu w Paryżu obudziła wielkie zainteresowanie nietylko we Francji ale i zagranicą. Już na miesiąc przedtem zapisanych było 3,000 uczestników, a ostatniego dnia liczba wydanych kart wstępu przenosiła 6 tysięcy. Oczywiście nie należy sobie wyobrażać, aby zjechało się tyleż osób interesujących się oświatą ludową; ponieważ dla zapisania się na członka kongresu nie wymagano żadnych kwalifikacji ani opłat, nie dziw przeto, że każdy, kto miał czas wolny korzystał ze sposobności wzięcia udziału we wspaniałych uroczystościach i przyjęciach, nie zadając sobie trudu nawet uczęszczania na właściwe posiedzenia.

Organizacją kongresu zajmowała się „Ligue de l'Enseignement“, jedno z najstarszych towarzystw oświatowych, a obecnie związek, obejmujący 3,800 kulturalno-oświatowych towarzystw. Założycielem Ligi był Jan Macé, popularny niegdyś i u nas autor „Historji kęsa chleba“. Do Zarządu Ligi, na czele której prezesem honorowym jest zawsze prezydent Republiki, wchodzi wysocy dygnitarze oświatowi, senatorzy, deputowani, radcy stanu i t. p. Zbytecznym

chyba i mówić, że Liga rozporządza ogromnym budżetem, przenoszącym 100 tys. fr. rocznie i że nadała kongresowi cechę ściśle rządową, zapraszając do Komitetu honorowego wszystkich ministrów, co nie należy bynajmniej do zwyczajów utartych.

Jak każdy kongres, miał i ten tak wielką ilość kwestji zapisanych na porządek dzienny, że można było z góry przewidzieć, iż żadna nie będzie rozpatrzoną ani przedyskutowaną. Dzień pierwszy szedł na wizowaniu kart wstępu, przemówieniach oficjalnych ministra handlu i przemysłu, prezesa Ligi, oraz dwóch przedstawicieli krajów cudzoziemskich — Włoch i Belgji, a wreszcie przyjęciach wspaniałych w Ratuszu i w salonach hotelu Continental. W ciągu dwóch dni następnych miano się zastanowić nad następującymi sprawami:

Stowarzyszenia oświatowo-kulturalne. Uniwersytety ludowe. Biblioteki. Szkolne stowarzyszenia wzajemnej pomocy. Wychowanie kobiety. Wykształcenie zawodowe. Kolonje wakacyjne. Wymiana dzieci.

Prócz tego zwiedzanie różnych instytucji, a wieczorem — uroczystości w Trocadero i Sorbonie. Że zaś wypadało cudzoziemcom udzielić najprzód głosu, zajęli oni przeto cały ranek na referaty sprawozdawcze z odnośnych krajów, wobec czego nie starczyło czasu na jakąbądź dyskusję. Jedynym rezultatem było zadecydowanie w zasadzie założenia biura międzynarodowego, instytucji oświatowo-kulturalnych, obawiano się jednak nadać temu postanowieniu odrazu formę konkretną, odłożono tedy jego ukonstytuowanie ostateczne do przyszłego kongresu, wyznaczonego na rok 1910 w Brukselli, a tymczasem funkcję jego wzięł na siebie zarząd Ligi. Poza obrębem zaś kongresu powstała międzynarodowa federacja uniwersytetów ludowych, ponieważ jednak nikt z przedstawicieli U. L. nie miał mandatu określonego dla tego celu, przeto rezolucja ta również ma charakter jedynie zasadniczy i tymczasowy.

Żaden z referatów przedstawicieli krajów cudzoziemskich nie dawał wyobrażenia o całości kształcie roboty oświatowo-kulturalnej w danym kraju, a przedstawiał jedynie rozkwit pewnej instytucji, jakkolwiek przeto niektóre z nich były dość zajmujące, to jednak na ogół biorąc nie przedstawiały żadnego głębszego interesu. Wszystkie referaty mówiły o potrzebie nauki, o konieczności zabezpieczenia młodzieży rzemieślniczej od złych wpływów i skierowania jej na drogę zawodowego wykształcenia, oraz kładły nacisk na potrzebę moralnego jej podniesienia przez rozwinięcie uczucia solidarności.

Na referaty, dotyczące stanu oświaty we Francji czasu nie starczyło, a jednak te jedynie przedstawiały wielki i cenny materiał do dziejów kultury europejskiej.

Jak wiadomo od r. 1882 istnieje we Francji obowiązkowa, bezpłatna i świecka nauka dla dzieci w wieku od lat 6 do 13. Zdawało się z początku, że wystarczy lat 10 od chwili wejścia prawa w życie, aby nietylko znikł analfabetyzm, ale by szkoła świecka odniosła stanowcze i niezachwiane zwycięstwo nad szkołą kongregacjonistyczną. Tymczasem i dziś jeszcze po latach 26-u daleko do ziszczenia nadziei ówczesnych. Nawet stopniowe zamykanie szkół kongregacjonistycznych, rozwiązywanie zakonów, zajmujących się szkolnictwem nie wpłynęło na odpowiednie powiększenie ilości dzieci w szkołach rządowych i miejskich, dawne bowiem zakłady wychowawcze zakonne istnieją i nadal, jedynie firma i ubiór uległy zmianie. Co zaś do analfabetyzmu, to ten oczywiście zmniejszył się, ale nie w tym stopniu, jakby tego można było się spodziewać, ostatni bowiem spis wojskowy z 1907 r. wykazuje 11,000 żołnierzy, nie umiejących ani czytać ani pisać, 5,000

którzy tylko czytać umieją, oraz 16,000 — których „nie dało się ocenić stopnia wykształcenia“.

A jednak w 1891 roku deputowany Dupuy, późniejszy minister oświaty, zapewniał parlament, że wkrótce szerzenie oświaty pomiędzy dorosłymi stanie się zbyt łatwe i że udzielane na ten cel subwencje rządowe użyć można będzie na inny cel. Dopiero w 1884 r. „Ligue de l'Enseignement“ uderzyła na alarm wydając odezwę, wzywającą do rozwinięcia jaknajszerszej pracy oświatowej, czego następstwem była reorganizacja kursów dla dorosłych, dzieło dwóch zasłużonych pedagogów Buisson'a i Petit'a.

Obecnie działalność towarzystw oświatowych rozwinęła się na szeroką skalę, dość wspomnieć tu najważniejsze z nich, z ogólnej liczby 2,835, — i tak:

*Société philomathique de Bordeaux* utrzymuje szkołę przemysłowo-handlową oraz kursa dla dorosłych w ilości 90, na które uczęszcza 2183 uczniów i uczenie.

*Société pour l'instruction élémentaire* w Paryżu popiera materialnie i moralnie szkoły ludowe, oraz utrzymuje dla dziewcząt bezpłatne kursa, przygotowujące do różnych egzaminów i zawodów, korzysta z nich około 3000.

*Association polytechnique* ma w samym Paryżu 28 sekcji, liczących 900 kursów, na które uczęszcza 4500 uczniów i uczenie.

*Association philotechnique* posiada również w Paryżu 44 sekcje, w których odbywa się 650 kursów.

*Société d'enseignement professionnel du Rhone* w Lyonie utrzymuje słynną szkołę przemysłową La Martinière, oraz kursa dla dorosłych w ilości 150, na które uczęszcza około 7,000 uczniów i uczenie.

*Union française de la Jeunesse* liczy 24 sekcje i posiada 10,000 uczniów.

*Société d'enseignement par l'aspect* w Hawrze postawiło sobie za zadanie ułatwienie nauki przez dostarczanie klisz do latarni magicznej.

*Association philomathique* posiada 28 sekcji w Paryżu, z 540 kursów korzysta 8,500 słuchaczy.

*Société nationale des Conférences populaires* urządza jedynie odczyty, wynagradza prelegentów, dostarcza im wszelkich środków pomocniczych, a mianowicie teksty drukowane odczytów, klisze i t. p. Liczy 19,000 członków.

*Société d'enseignement moderne* posiada 80 sekcji, 1240 kursów, uczęszczanych przez 22,000 uczniów i uczenie.

*Société républicaine des Conférences populaires* liczy 11,000 członków i urządza odczyty, których w roku zeszłym było 980, posiada sekcję więzienną i szpitalną, które mają na celu dostarczanie umysłowej rozrywki chorym i więźniom.

Wystarczy zwrócić uwagę na tych kilka stowarzyszeń, aby mieć wyobrażenie, ile działać może inicjatywa prywatna i jak wielkie jest zapotrzebowanie wiedzy, skoro nigdzie na brak słuchaczy nie narzekają. Dołączywszy do tego to, co się robi ze strony rządu i rad miejskich dla poparcia oświaty, mamy we Francji, wedle sprawozdania Edw. Petit'a, za rok ubiegły 48,248 kursów, na które zapisało się 533,676 słuchaczy i słuchaczek, a uczęszczało pilnie 404,419. Kursa specjalne dla dziewcząt były w ilości 18,294, na które uczęszczało 203,366 uczenie. Ilość odczytów w tymże roku wygłoszonych wynosiła 82,481.

W pracy tej bierze udział 73,172 nauczycieli i nauczycielek szkół państwowych oraz 9,094 profesorów z dobrej woli.

(Dok. nast.).

Iza Zielińska.

## DEOTYMA.

Już dawno, dawno uznano za pewnik, że pieśń może powstać z pieśni, z pieśni, z ducha, i... basta.

Od wieków nie słyszano, aby z historii, z kroniki urodziła się kiedy pieśń-poezja, siła, dzielność, nieśmiertelność...

Doskonale prawdę tę widział (nie tylko Verlaine!) już Pol Wincenty, gdy, w świeżo ogłoszonej po raz pierwszy przez p. Maurycyego Manna (w monografii znanej), rozprawie Pola o źródłach poezji narodowej czytamy:

„Historja, która jest za dni naszych niejako filozoficzną krytyką czasowego objawienia, kreśląc zimnem piórem dzieje narodu, zdzierając z nich wszelką cudowność i t. d. — nie tylko, że nie wspiera poezji, lecz przeciwnie, staje z nią w najnieprzyjaźniejszej opozycji. Stąd pochodzi, że poeci najczęściej obierają przedmioty, które historia niedokładnie wyjaśnia. Przedmiot, samo jądro rzeczy, musi być zapewne z historii wzięte, ale do poezyjnego usnucia rzeczy potrzeba nie *martwego słowa*, ale życia, zapasu żywych materiałów, a to znajdzie poeta polski u ludu, w pieśniach gminnych“.

Na nieszczęście dla siebie samej Deotyma od tej prawdy daleką była. Przeciwnie, jak na złość, myśl jej zawsze prawie biegła ku zdarzeniom, którym nie towarzyszyła żadna pieśń ludu, pieśń serca szczerego, cierpiącego, nie urzędowego, dworskiego, przekupionego.

W taki sposób pieśń jej stanęła zwolna po za ludem, po za narodem, po za życiem.

Ciekawe, chociaż wprost niepojęte dla nas, są drogi twórczości Deotymy.

Nie chcielibyśmy męczyć czytelnika, ale nieprzeparata chętką nas bierze wykazać źródła, z których wyłoniło się dzieło wyniesioneomal nie do godności epopei narodowej, dzieło, świadczące, według słów p. Prażmowskiej w „Bluszczu“ o arcy-polskości tego serca dumnego autorki „Sobieskiego pod Wiedniem“.

Szyрма, Brodziński, Mochacki i Pol wyrwaliby sobie prawdopodobnie wszystkie włosy na głowie, gdyby zajrzeli do „Przypisów“ ksiąg siedmiu „Sobieskiego“ i z przerażeniem dostrzegli, że nie tylko na żadną pieśń ludu poetka się nie powołuje, ale nawet rzadko odwołuje się do nauki polskiej, czerpie natomiast skwapliwie i obficie ze źródeł przeważnie niemieckich.

Pozwolę sobie wymienić kilkunastu przytoczonych, z całą zaiste naiwnością przez Deotymę, autorów i nad ustępem tym wypiszę tytuł:

Źródła najczystsze go poematu polskiego, oraz świadectwo pobożnej czci i miłości duszy polskiej i jej największego skupienia.

*Hammer.* Geschichte des Osmanisches Reichs.

*Karl Teufel.* Die Türken von Wien.

*Moritz Berman.* Alt und neu Wien.

*Türheim.* Żywot (!) Starhenberga.

*Onno Klopp.* Das Jahr 1683.

*Voelckeren.* Vienna a Turcis obsessa a christianis eliberata.

*Thesaurus Exoticorum;* Hamburg; von Eberhard Hoppelio. *Anecdotes de Pologne* par Dolejrac Amsterdam 1699.

*Hende.* Voyage of the Persian.

*Duppon.* Memoires pour servir a l'histoire de Jean Sobieski.

Encyklopedia Powszechna Orgielbranda.

Katalog wystawy z r. 1883.

Obserwacje, należące do koni i stad polskich.

i t. d. i t. d.



Oto skąd przeważnie czerpała Deotyma ciało i krew „Polski w pieśni.“

Nie przeczę, że były i źródła polskie.

Były listy Sobieskiego, był Summarjusz Okazji Wiedeńskiej Dżakowskiego, były nawet i łyżki z napisami, i łyżki srebrne z maskaronem, łyżki srebrne ze ś-y m Pawłem, była nawet i pieśń polska Kochanowskiego i „Bankiet włoski“ Potockiego. Lwią atoli część materiałów dostarczyły autorce dzieła niemieckie i francuskie — natomiast żadnej a żadnej pieśni ludu.

I oto w taki sposób, via Hammer, Klopp, Teufel powstał pomnik wielki i święty serca polskiego, najlepszej Polki i patriotki!

Nieobjęta myślą ironja, żart, kpiny.

Zaiste, rację miał Opaliński!

Polska nie przestała być cyrklem Pana Boga.

Niefortunny, na zanikającym gwałtownie poczuciu źródeł poezji oparty, wybór „Sobieskiego“, poprzedzały w twórczości Deotymy inne zbroczenia z drogi należytej.

Były one jednak stokroć mniej rażące.

Nie do Niemców chodziła, nie do Francuzów, kobieta-Polka po formę i natchnienie. ale zwracała się, jakgdyby w ślad za Mochnackim, do mitologii słowiańskiej.

Ale, niestety, i to źródło poezji już należyście ocenione było.

Pisał i o niem Pol tak, jakgdyby drogą telepatji przestrzegał Deotymę.

Otóż w rozdziale trzecim rozprawy „o źródłach“ — o mitologii słowiańskiej — Pol pisze:

„Bóstwa te są zimne i bez życia. W nikogo nie można wmówić ich niebieskiego początku i wszelka cudowność niknie. skoro figury wprowadzone są nieznanym słuchaczom, wszelkie wrażenie stygnie, gdy czytelnik musi się odnosić co chwila do przypis-ku, wyjętego z kroniki“.

Czyż owego przerażającego zastygania nie odczuwał czytelnik, czytając pierwsze tomy „Polski w Pieśni“, „Lecha“, „Wojny olbrzymów“, „Wyszomira“ i t. d.

Czyż nie jest wprost grzechem krytyki, iż nie ostrzegła Deotymę, nie przypomniała jej, że żywe rodzi się tylko z żywego.

Czyż nie godne wreszcie potępienia te babska obrzydliwe, które, egzaltując się nad każdym słówkiem poetki, postaciami swymi zakrywały płomieniejące przed oczyma jej niebo.

A ono było kiedyś, a ono płonęło.

Odczuwamy je w „Tomirze“, odczuwamy w „Wyborze poezji“.

Nie czas ostrzegać! — pisała tam Deotyma —

Duch wieku nas unosi! Stało się! Niczego

Duchy wieków napróżno nie czynią przed Panem

Więc idźmy, siostry! Postęp nam hetmanem.

Ale zjawili się Stasiowie i nie Stasiowie, których pochwały piekielne na ducha zatrucie są obliczone i poetka przeistoczyła się w gawędziarkę.

I taką też pozostanie w literaturze naszej. Na jednej może linii z Polem (który teorjom swoim sprzeniewierzył się) zapisze historia i imię Deotymy.

A może nawet nieco niżej.

Bądź co bądź, dziś możemy prawie słowo w słowo powiedzieć o Deotymie to, co mówimy o Polu:

„Pol, w swoich Gawędach, podobnie rozmiłowany w staropolskich cnotach (pobożności, dobroduszości, prostości serca i t. p.) nie dość pamięta o złych stronach ówczesnego życia i wystawia je w poematach swoich, albo nie domyślając się, że są złe i sprawie publicznej szkodliwe, albo przynajmniej uważając je za drobne usterki i upatrując w nich wdzięk sympatyczny.“

„Pod względem artystycznym znowu wpada w ten wielki błąd, że te stare anegdoty i tradycje podaje bez braku i przerobienia, wiernie, jak mu były opowiedziane; swoją wyobraźnią nic nie dopełnia, żywych figur nie kreśli, akcji nie rozwija i nie prowadzi — słowem, ukła-

da tylko w wiersz, ale zresztą podaje in crudo surowy materiał, jak mu był opowiedziany.“

„Rodzaj może nieco nowy, oryginalny, ale, jak dotąd, nieświeży“.

Nieświeży, nie twórczy, bo z takich źródeł, z jakich Deotyma czerpała, nic świetnego, nic twórczego powstać nie może. Urzędowe, półurzędowe, dworskie, a nawet i naukowe materiały nie zrodzą nigdy poezji, jak wół nie zrodzi konia!

Jan Bołcikowski.

## Z LITERATURY ROSYJSKIEJ.

M. Arcybaszew. „Sanin“, powieść.

Niedawno w pismach ukazała się wiadomość, że prokurator petersburskiej izby sądowej pociągnął do odpowiedzialności karnej M. Arcybaszewa autora skonfiskowanej uprzednio powieści p. t. „Sanin.“ W utworze tym przedstawiciel sądownictwa dopatrywał się przestępstwa przewidzianego art., 1101 kod. kar., — rozpowszechniania rzeczy o treści pornograficznej. Niebawem też „Sanin“ ukazał się w wydaniu zagranicznym, a jednocześnie prawie w tłumaczeniu niemieckim i francuskim. Już oddawna krytyka rosyjska nie poświęciła jakiejś pracy beletrystycznej tylu artykułów, studjów i rozpraw, jak z powodu tej powieści. Już oddawna ani jedna książka nie miała wśród publiczności czytającej takiego powodzenia i wzięcia, jak „Sanin“. Krytyka zagraniczna, przeważnie niemiecka, rzecz tę traktowała, jako odbicie „rewolucji w dziedzinie etycznych obyczajów rosyjskiej inteligencji.“ Powieść ta według zdania wielu bardzo ludzi, stworzyła rzekomo nowy kierunek w piśmiennictwie, według innych zaś na „Sanina“ winna spaść całym swym ciężarem odpowiedzialność za rozmnażające się w środowiskach wielkomięjskich przenajróżnorodniejszego rodzaju „sprzysiężenia“, „stowarzyszenia“ i „ligi“, których dewizami są rozmaite „wolne“ rzeczowniki, celami zaś — użycie i rozpusta. Wszyscy jednak zgadzali się na jedno, mianowicie, że typy, przedstawione w powieści Arcybaszewa, są to ludzie okresu upadku ruchu społecznego w Rosji, inteligencji pozbawieni wiary w przyszłość, rozczarowani do ideałów, przyświecających rewolucji, tak szybko zgniecionej i stłumionej, która zawiodła i w niwecz obróciła pokładane w niej nadzieje i oczekiwania, ludzie, którym pozostała jako możliwość, wyzbywszy się samoanalizy, brać życie takim, jakim ono jest w żywiołowych swych przejawach, i stargawszy więzy społeczności, zasklepić się w sobie i żyć je-no dla siebie.

Wszystkie te twierdzenia są jednak z gruntu fałszywe. Bo już w latach 1902-3-4-5, t. j. przed wybuchem rewolucji, młoda literatura rosyjska obfitowała w utwory, w których nie jeden prokurator mógłby się, z równie usprawiedliwioną racją, jak prokurator izby sądowej petersburskiej, dopatrzeć pornografji. Bo już oddawna na zmianę czasopism „Artysta“ szło inne, — „Sztuka“, a te luzowała „Sztuka i przemysł artystyczny“, które-go puścizne obejmowały kolejno wydawnictwa: „Waga“ („Wiesy“) i „Złote runo“, a w wszystkich tych pismach drukowali swe prace Sołohuby, Iwanowy, Kamieńscy, Kuźmini, Hannibale, Hipiussy i Kreczetowy i wielu, wielu innych, którzy z dużą wiarą w powodzenie swe mogliby stanąć do walki konkursowej o championat pornografów. Bo już oddawna istniały w Rosji nietylko „wolne ligi“ i „stowarzyszenia niedopałków“, lecz nawet liczne sekty religijne, których zwolennicy podczas odprawiania obrzędów, przez wiarę ich przepisanych, oddawali się najwyuzdańszym i najpotworniejszym wybrykom płciowym.

Bo już oddawna literaturze rosyjskiej znane były typy „wyzwalających“ się z pod jarzma obowiązków społecznych ludzi, uznających jedyny jeno cel — życie, i jedyny argument — ja. Bo wreszcie, najważniejsze, psychika ludzi „Sanina“ nie jest i nie może być wyłącznie wynikiem porażki rewolucji i stracenia przez inteligencję myśli przewodniej i gruntu pod nogami, gdyż powieść swą Arcybaszew napisał w roku 1904, t. j. podczas największego ożywienia i najwspanialszego rozkwitu nadziei i wiary społeczeństwa rosyjskiego, a nadewszystko inteligencji rosyjskiej, w bliskość jasnego i szczęśliwego Jutra. Tak, i właśnie dlatego, że przy ówczesnym nastroju Rosji „Sanin“ zbutwiały na półkach księgarskich, musiał on tak długo spoczywać w tecie autorskiej, dopóki nie doczekał się dni naszych, dni czarnych, owianych dymem pożarnym i bijących wonią krwi świeżej, kiedy zmęczona i oczarowana i niewiara dusza inteligenta burżuazyjnego z upragnieniem wyglądała jakiegoś znaku widomego, który wskazałby jej najwęższą choćby ścieżkę, zdolną wyprowadzić ją z chaosu nierozwiązanych zagadnień, z zgiełku przygotowań wojennych i koszmaru możliwości nowych trudów i nowych zapasów, — wyprowadzić, dokąd? — wszystko jedno, choćby na manowce myśli, w gęstwy ciemne obłędu mistycznego lub bajory rozpusty i wyuzdania.

Nie, charakter i dusze, występujących w „Saninie“ osób, są najzupełniej niezależne od współczesnych nastrojów społecznych, wytworzonych przez obecne warunki życia, nie: jeno w powieści swej Arcybaszew pokazał nam te specyficzne cechy, które są właściwe jedynie tylko „inteligentom“, które wytworzyło psychologiczne osobliwe położenie w społeczeństwie tej właśnie warstwy.

Podczas, gdy fundamentem psychologii proletariatu jest jej całokształtna zgodność, harmonijny stosunek jej poszczególnych elementów względem całego sposobu czucia i myślenia; podczas, gdy ideał proletariacki i dążenie ku niemu jest niezachwiane, gdyż pierwsze stworzyły warunki ekonomiczne, drugim zaś kieruje rozwój i życie samo tej klasy; widzimy, że jakby w przeciwieństwie do tego, charakterystyczną cechą „inteligencji“, jako warstwy społecznej, jest brak własnego ideału społecznego, opartego na obiektywnych warunkach życia, jest brak zasad, któreby systematyzowały i harmonizowały cały materiał psychologiczny. Inteligencja, jako całość, nie posiada wspólnych, klasowych interesów, hierarchia rang i stanowisk dzieli ją na szereg różnych, obcych sobie, warstw, których psychologia jest najzupełniej zależną od warunków życiowych i którym przyswiecają najprzezorniejsze światopoglądy. Wyraznym dowodem tego jest właśnie powieść Arcybaszewa, w której autor przedstawił kilka typów z arsenału tego defektu społecznego, o którym wyżej mówiliśmy. Taki, i tylko taki, jest podkład filozoficzny „Sanina“, żadnych więc wniosków po za to idących zeń wyciągać nie należy, tembardziej zaś operać na nim przekonania o nastroju, wyłącznie obecnie panującym, wśród inteligencji rosyjskiej.

O „Saninie“ zaś, jako dziele sztuki, powiedzieć się dużo nie da. Większych wartości literackich on nie posiada. Cechuje go nadewszystko chaotyczność i niedoprowadzanie do psychologicznych punktów linii przeżywania i czuć. Bardzo wiele epizodów nie znajduje usprawiedliwienia logicznego. Wszystkie postacie, nie wyłączając nawet Sanina, dla którego cała powieść zda się być jeno tłem, zakreślone są często grubymi konturami. Arcybaszew, posiadający bezsprzeczny talent pisarski, stworzył powieść, która coprawda narobiła dużo bardzo hałasu, lecz w żadnym razie, ani ze względu na poruszane w niej zagadnienia, ani jako twór piękna, nie przędzie do historii sztuki literackiej.

M. Sachs.

## E C H A .

### ORGJE MAGISTRATU.

„Goniec“ znowu zajął się gospodarką miejską. Tym razem chodzi o nadużycia z listami płacy, na których wykazywano znacznie więcej wykonanej robocizny niż było w rzeczywistości.

Pomiędzy innymi „Goniec“ przytacza list następujący:

„Przez cztery robocze sezony pracowałem, jako dozorca robót miejskich w oddziale inżyniera (tu następuje nazwisko). Współtowarzysz mój, starszy dozorca (tu następuje nazwisko) ulubieniec i protegowany inżyniera, dopuszcza się stałych nadużyć z furmankami. Dzieje się to w ten sposób, że jeżeli pracuje 8 furmanek, to na listach płacy do magistratu przedstawia się 12 lub 16 furmanek. Operacje takie powtarzają się co tydzień, a ponieważ furmanki pomieszczane są na czterech listach, przeto tygodniowo magistrat zostaje oszukany mniej więcej na 25 rubli, płaci bowiem za furmanki, których nie było.

O nadużyciach tych komunikowałem inżynierowi, ale bezskutecznie.

W jednej z fabryk miejskich „figurowali na listach płacy ludzie, którzy wcale nie przychodzili do roboty“. Bywało to latami całymi. Oto np. robotnik Jan M.... brał pieniądze, a nie robił. Tenże robotnik wywiózł pewnego dnia za miasto całą szopę i sprzedał. Znowu Maciej M... odrazu wywiózł i sprzedał 5 fur płyt betonowych. Na listach płacy figurowali i figurują mularze, pracujący w domach panów urzędników Magistratu. Jest ich trzech. Z tych jeden zmarł. Czy ten ostatni pobiera jeszcze i teraz pieniądze — nie wiadomo.

Są przecież na owych listach szczęśliwcy, którzy wyjechali na wojnę japońską i pobierali, a raczej pobierano za nich pieniądze. Są jeszcze szczęśliwsi. Ci nawet po śmierci na polach Mandżurji, wypisani z listy żyjących w urzędach administracyjnych, co, jak wiadomo, w niezbyt szybkim odbywa się tempie, nie zostali wukreśleni z listy płacy. Prawdopodobnie zwierzchnicy magistraccy nie wiedzieli o ich śmierci“.

Rewelacje „Gońca“ dawno powinnyby zainteresować prokuratorję i wywołać dymisję winnych; tymczasem rzecz się załatwia spokojnie i po domowemu; skompromitowani działacze przechodzą w stan spoczynku; tak naprz. w tych dniach podał się do dymisji naczelnik taboru miejskiego p. Prokopowicz.

Z powodu artykułu „Gońca“ w sprawie malwersacji z listami płacy robotników przy robotach miejskich, prezydent miasta zażądał wyjaśnień od starszego inżyniera miasta, p. Mościckiego. Pan M. odpowiedział, że uważa za najwłaściwszą drogę ku wykryciu możliwych nadużyć oddanie sprawy w ręce sędziego śledczego.

Poraz pierwszy postawiono sprawę na właściwym gruncie.

### DZIEŃ ROBOCZY W HANDLU.

Nieszczęsne przepisy „o normalnym odpoczynku pracowników handlowych“ są ciągle powodem utrapienia kupców, którzy na wszelkie sposoby chcą przekonać rząd, iż 12-godzinny dzień roboczy w handlu jest zbyt krótki. Wprawdzie panowie kupcy nie mówią tego wprost: im chodzi nie o długość odpoczynku pracowników handlowych, lecz o dzień roboczy w handlu, o długość otwarcia sklepów. Jest to jednak tylko naiwny wykręt, bo mając możność trzymania sklepów otwartych dłużej nad 12 godzin,

kupiec zawsze znajdzie pozór zatrzymania pracowników ponad normę. Domagając się dłuższego dnia roboczego w handlu, panowie kupcy powołują się na interes społeczeństwa, które przez ograniczenie ilości godzin handlu będzie miało niewygodę w nabywaniu artykułów pierwszej potrzeby. Zdawaloby się, że do artykułów pierwszej potrzeby, które nabywać trzeba często, aby je mieć świeże, należą tylko artykuły żywności; panowie kupcy są innego zdania: twierdzą oni, że artykułami takimi są wszystkie towary kolonialne (właściciele sklepów kolonialnych domagają się 15-godzinnego dnia roboczego), a nawet tytoniowe. W tych dniach koło kupców tytoniowych przy Stow. Kupców Polskich wysłało komisji obywatelskiej przy ober-policmajstrze i Kołu Polskiemu w Dumie memoriał, domagający się dla sklepów tabacznycych 15 godzinnego dnia roboczego, jak dla sklepów kolonialnych. Niedługo zażądają tego bławatnicy i składnicy futer.

#### PATRJOTYZM HANDLOWY.

Bojkot towarów niemieckich spełził na niczem (przez komory celne — jak stwierdzają źródła urzędowe — idzie obecnie tyleż towarów pruskich co dawniej), natomiast akcja bojkotowa przeobraziła się w wycieczkową: kupcy polscy jeżdżą po całej Europie zawiązując stosunki: byli w Pradze, Londynie, Wiedniu i Paryżu. Przy Stow. kupców polskich powołały się specjalne sekcje dla stosunków handlowych z Czechami, Anglią i Francją, agituje się zaś myśl utworzenia „wydziału dla handlu zewnętrznego“. Czy i ta akcja spełni na niczem — nie przesądzamy; zaznaczyć jednak należy, że w liczbie osób stojących na czele niektórych z sekcji wspomnianych jest bardzo wielu ludzi mających z handlem i przemysłem związek bardzo luźny, naprz. na czele sekcji polsko-czeskiej stoją, pomiędzy innymi książe Zdzisław Lubomirski i ksiądz Hipolit Skimborowicz; a w niektórych wycieczkach brali udział lekarze, adwokaci, inżynierowie — brakowało tylko kupców. (Zarzut ten wystawiono na odbytem d. 13 b. m. zgromadzeniu w Stow. kupców polskich, na którym zdawano sprawę z wycieczki do Anglii). Słabe zainteresowanie kupców akcją Stow. kupców polskich zdaje się świadczyć, że tak samo akcja wycieczkowa, jak w swoim czasie bojkotowa, spełni na niczem. Jakże jaskrawo dowodzi to, że zamierzeń handlowych nie można opierać na pobudkach patryjotycznych.

#### REALISCI TRYUMFUJĄ.

15 b. m. odbyły się prawyborzy wyborców, którzy wybrać mają członka Rady Państwa w Królestwa Polskiego.

„Słowo“ pisze z tego powodu:

„W trzech gubernjach, warszawskiej, kieleckiej i radomskiej przeszli wyłącznie kandydaci Polskiego Stronnictwa polityki realnej, razem 18-stu. W gubernji łomżyńskiej wybrano dwóch Realistów (pp.: Stanisława Kisielnickiego i Stanisława Lasockiego), oraz w gubernji siedleckiej jednego — (hr. Stanisława Łubieńskiego). Ogółem przeszło 21 kandydatów Realistów.“

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że z urny wyjdzie realista i zajmie miejsce narodowe p. Gawrońskiego w petersburskiej Izbie Panów.

Realisci z tego powodu tryumfują, a narodowi demokraci się smucą, zarówno jednak smutek ten, jak radość owe polegają na nieporozumieniu: obecnie przecież zarówno narodowi demokraci, jak realisci jednakowymi drogami do jednakowych zdążają celów.

#### ZGON KRÓLA BAWELNIANEGO.

W jednym z pism czytamy:

„Z Paryża otrzymaliśmy wiadomość telegraficzną iż w dniu wczorajszym zmarł tamże w 24 godzin po dokonanej operacji Ignacy Poznański, prezes zarządu Tow. akc. I. K. Poznański. Zmarły był wogóle szefem interesów Poznańskich których zarząd objął po zgonie ojca swego i założyciela firmy, I. K. Poznańskiego. Brał on żywy udział w życiu społecznym Łodzi, stojąc na czele wielu instytucji użyteczności publicznej i dobroczynnych, którem gorliwie służył pomocą i radą. Odznaczał się wybitną inteligencją. Od lat paru. t. j. od czasu zaburzeń robotniczych w Łodzi, przebywał zagranicą. Żył lat 56.“

Ostatnią zasługą zmarłego był, jak wiemy, słynny lokaut łódzki, którego ojcem duchowym był w myśl zasady, że robotnika tylko głód skłonić może do opamiętania.

#### Z T E A T R U .

„Aspazja“ — dramat w 5 aktach Aleksandra Świętochowskiego.

Wystawienie „Aspazji“ Świętochowskiego przypominało ze sceny, że są jednak autorowie, którzy umieją myśleć wspaniale. Bogactwo intelektu, stalowa giętkość zdań, potęga dialektyki, patos uczuciowy sprawiają, że „Aspazja“ czyni wrażenie czegoś szlachetnego i wyższego. Przez tę sztukę obcuje się jakoby z wyzwolonym z powikłowań niedojrzałości człowiekiem. Sięgnąwszy do czasów Peryklesa Świętochowski maluje w „Aspazji“ starcie dwóch żywiołów — arystokratycznego i demokratycznego. Arystokratyczny pierwiastek wyobraża przeżycie, egoizm, zaśniedziałość umysłu; — demokratyczny — parcie naprzód, zdrowie i energię myśli, dążenie do odrzucenia wszelkich kajdan, krepujących ludzkiego ducha. Starcie tych dwóch pierwiastków — to właściwie walka arystokratyzmu z przywileju z arystokratyzmem ducha.

Lecz w sztuce Świętochowskiego jednostka zostaje pochłonięta przez ideę. Ludzie Świętochowskiego to tylko wcielenie idei zdrowych lub wynaturzonych. Inaczej mówiąc Świętochowski nie kocha się wcale w namiętnościach ludzkich. Ale jakże inaczej stworzyć dzisiejszego człowieka, dalekiego od tryumfu myśli, jeśli nie pokochawszy gwałtownie, choćby tylko w chwili tworzenia, jego namiętności?

Perykles i Aspazja — wcielenie jasnego geniuszu Grecji — są w sztuce Świętochowskiego dość nieokreśleni. Nie bacząc na wymowę szlachetnych faktów, pięknych gestów i bogatej dialektyki — widz po wysłuchaniu sztuki zapytuje uporczywie: — A jednak, jakimi byli ta Aspazja i ów Perykles? Nie mają oni formy indywidualnej, są środkiem, nie zaś celem.

To samo stosuje się do innych wielkich ludzi. Sofoklesa, Eurypidesa, Fidjasza. Wielkie cienie poruszone z grobów, pozostały cieniami. Zmartwychwstały może ich mózgi, lecz nie zmartwychwstały dusze.

Jedyny wyjątek stanowi Sokrates. Ten jest nie tylko przemyślany, ale i przeżyty. Piękny jest młody Sokrates entuzjasta i późniejszy poważny myśliciel. Instynktownie nie żąda się nic więcej od autora, kiedy chodzi o Sokratesa. Pochodzi to może stąd, że Sokrates w pojęciu widza jest typem człowieka wyzwolonego od przewagi namiętności. Żyje on czystą myślą. Potężną wolą ujął w karby samego siebie i przetopił wszelkie możliwości swego ja na jedyną możliwość — zgłębiania rzeczy ziemskich...

A takich właśnie ludzi wyjątkowych i rzadkich — umie stwarzać Świętochowski.



UPTON SINCLAIR.

## M E T R O P O L I S .

*(Ciąg dalszy).*

## III

Ku końcowi tygodnia otrzymali Montaguowie zaproszenie na sobotę i niedzielę do posiadłości Lester-Toddów, na wyspie New-Jersey. Allan zagrzebał się całkiem w książkach, ale Oliwier powstawał energicznie przeciwko temu. Chciał, żeby się oderwał od pracy. Do diabła z tym głupim procesem! Czy chce dla jednej sprawy poświęcić całą karierę? Trzeba przecie żyć z ludźmi, którzy mają znaczenie. A ci Toddowie to właśnie tacy ludzie, bardzo bogaci ludzie, potęgą w świecie ubezpieczeń. Jeżeli Allan chce być adwokatem w sprawach o ubezpieczenia, to bezwarunkowo nie powinien odrzucać tego zaproszenia.

Wreszcie Allan dał się przekonać. Pojechali wszyscy troje, dwaj bracia i Alicja, salonowym wagonem, a potem autobusem. Pałac stał na szczycie wzgórza. Tam mieszkali dumni Lester-Toddowie. Na okolicznych wzgórzach stały pałace i wille wielu ultra-bogaczy, którzy tu szukali wiejskiej ciszy. Wszyscy ci bogacze stanowili rodzaj znakomitej najwyższej sfery. Dawali oni do zrozumienia, że na „towarzystwo“ miejskie patrzą z góry, jako na sferę niższą. Mieli zgóry ustanowiony program całorocznych rozrywek — między innymi wystawa koni pod gołym niebem w lecie, a w jesieni polowania par force na lisy w specjalnych na ten cel uniformach.

Lester-Toddowie byli zapalonemi sportowcami. Brali udział we wszelkiego rodzaju ćwiczeniach od Floridy i Nowej-Karoliny do Ontario. U siebie, w domu, mieli ogromny, doskonale ogrodzony las. W ich pałacu w stylu renesansowym — który nazywali pogardliwie „chatą myśliwską“ — znajdowały się takie „articles de vertu“ jak stoł za dziesięć tysięcy dolarów z krzesłami, które kosztowały dwa tysiące i zupełnie zwyczajnie wyglądające kobierce po dziesięć do dwudziestu tysięcy dolarów za sztukę. O wszystkich tych cenach można się było dowiedzieć z największą łatwością, bo na stole leżały albumy z wycinkami z gazet, traktujące o tych rzeczach.

W sobotę wieczorem Mrs. Todd powitała swych gości w pastelowo-szarej toalecie. Na przodzie wyszły był jedwabiem paw, każde pióro ptaka ozdobione było drogim kamieniem; oczy miał z dżamentów. Wieczorem podczas tańców pareset dżamentów lśniło na jej sukni. Gości przyjmowała na kobiercu również usianym drogiemi kamieniami.

Montague znalazł się w najwyższej śmietanie towarzyskiej. Jedzono tu więcej, pito więcej i intrygowano powszechniej. Używano tu języka tak osobliwego, krążyło tu tyle ulotnych wyrażen i specjalnie — ukutych dżiwotworów, że Allan z trudnością nieraz śledził ogólny bieg rozmowy.

Wśród gości była niejaka Mrs. Harper, która przyjechała tu via Londyn z Chicago. Była to podobno zaufana przyjaciółka królowej angielskiej. Farmerów miejscowych nazywała nie inaczej jak „nasi chłopci“. Przyjmować panią Harper jako gościa było nadzwyczajnym zaszczytem i przywilejem. „W domu“ występowała ta pani z olśniewającą pompą, przypominającą wystawność królowej Wiktorji, z chorągwiemi i banderami i krzyzącemi hura dziećmi. Utrzymywała dwanaście rezydencji i posiadała w Szkocji stotysięcy morgów obszaru do polowania. Specjalnością jej było zbieranie klejnotów po królowych, znanych w historii z romantycz-

nego wspomnienia. Na balu zjawiła się w kiryście z dżamentów, który osłaniał cały przód jej stroju, tak że płonęła rżesistem światłem! Obok niej wystąpiła Mrs. Percy, Angielka, która towarzyszyła zawsze jej tryumfalnemu pochodowi przez wszystkie dwory i kraje Europy. Mrs. Percy miała słynny łańcuch do lornetki, składający się z najpiękniejszych na świecie okazów wszystkich drogich kamieni. Ubrana była w suknię ze złotogłowi, przybraną wspaniałemi weneckimi koronkami. Widok tych koronek wzbudził wielkie wrażenie. Nagle rozeszła się pogłoska, że strój Mrs. Percy jest przekształceniem stroju Mrs. Harper, jaki ta ostatnia miała na balu u księżny Londynu. Sama pani Harper nigdy nie nosiła dwa razy tej samej sukni.

Alicja czuła się wybornie. Wszyscy panowie nadskakiwali jej na zabój — zwłaszcza jeden młodzieniec, nazwiskiem Fayette, po prostu rzucał jej się do nóg. Był bogaty, ale doszedł do pieniędzy w sposób nieszczerogólny — porwał bogatą pannę. I ta również była na balu, a przeto zaloty Fayettea nie miały dla Alicji żadnej praktycznej wartości.

Brat Allana poświęcił się wyłącznie miss Betty Wyman. Sztuka, z jaką oboje umieli znikać i kryć się przed oczami towarzystwa, bardzo bawiła wszystkich. Allan czuł się w obowiązku podczas powrotu do domu uczynić bratu kilka ojcowskich wskazówek.

Oliwier odparł:

— Jesteśmy w sobie zakochani jak tylko być można.

— Kiedyż myślisz ją zaślubić?

— Bóg to wie — odparł Allan. Niewiadomo... Stary jegomość nie dałby jej ani centa.

— A czy nie możesz tak jej utrzymać?

— Ja? Wielki Boże! Czyż myślisz, Allanie, że Betty zgodziłaby się na to, żeby być biedną.

— Czyż ją o to pytał?

— Ani myślę jej pytać... Dziękuję za to. Nie mam wcale zamiaru mieszkać w chacie z dziewczyną, która wzrosła w pałacu.

— Cóż więc zamierzasz robić?

— No, Betty ma bogatą ciotkę w domu obłąkanych. Ja, jak wiesz, również robię pieniądze — stary wreszcie będzie musiał ustąpić, tymczasem zabawiamy się rozkosznie, jak widzisz.

— Nie jesteś chyba bardzo zakochany?

Oliwier odparł wesoło, że oboje są zakochani o tyle, o ile wogóle kochać się umieją.

Rozmowa ta toczyła się w poniedziałek rano w pociągu. Oliwier spostrzegł, że brat jego zapadł wkrótce w głębokie zamyslenie, i rzekł:

— Teraz znów zagrzebiesz się w książkach. Ale w tym tygodniu musisz mi ofiarować jeden dzień. Będzie pewien ważny obiad.

— Gdzie? — spytał Montague.

— O, to długa historia. Opowiem ci innym razem. A teraz porozumiejmy się co do przyszłego tygodnia. Nie zapomnialeś przecie, że to tydzień Bożego Narodzenia. W tym tygodniu bezwarunkowo nie będziesz mógł pracować.

— Ależ to niemożliwe! — zawołał Allan.

— Inaczej być nie może — rzekł Oliwier stanowczo. Przyjść do twojego imienia zaproszenie do Eldridge-Devonsów.

— Na cały tydzień!

— Tak, na cały tydzień. Z tego wszystkiego, coś dotąd osiągnął, to będzie zdobyć najważniejszą. Pojedziemy wagonem salonowym Mrs. Winnie. Zrobisz mnóstwo bardzo pożądaných znajomości.

Allan wymawiał się. Przez kilka minut tłumaczył Oliwierowi, jak bardzo jest zajęty. Lecz Oliwier twierdził uparcie, że kto chce może wszystko. Poprosto niepodobna odmówić, kiedy Eldridge-Devonsowie zapraszają na święta Bożego Narodzenia.

Sprawa układała się dla Allana pomyślnie. Mr.

Hasbrook rzekł, że kazał już poczynić pewne przygotowania do procesu i że każe mu przysłać papiery. I rzeczywiście, następnego dnia znalazł Montague pakiet o kilku tysiącach arkuszy. Przejrzawszy te arkusze, Montague znalazł ku wielkiemu zdumieniu kompletnie opracowaną skargę, ze wszystkimi koniecznymi odnośnikami i cytatai oraz projekt krótkiego przedstawienia sprawy — słowem zupełne i bardzo gruntowne przygotowanie tego, czego się podjął. Była to praca, warta co najmniej dziesięć do piętnastu tysięcy dolarów! Montague z podziwem przerzucał te czyste, pisane na maszynie arkusze. Gdyby wszyscy klejenci traktowali go podobnie, to mógłby sobie zawsze pozwolić na wizyty!

Był jednak nieco dotknięty — chciał niektóre punkty sam uzasadnić. I oto doznał wrażenia, jakoby go lekceważono, kazał się połączyć z mr. Hasbrookiem i zapytał, co ma czynić z przysłanymi papierami. Zawiera się w nich cała sprawa. Czy ma poprostu oprzeć się na nich?

Mr. Hasbrook odpowiedział nadzwyczajnie uprzejmie. Papiery są najzupełniej do dyspozycji mr. Montaguea. Może z nich korzystać jak chce. Użyć w takim stanie, jak są, zupełnie odrzucić lub uczynić z nich fundament dla własnej pracy. On zaś — Hasbrook — zgóry zgadza się na wszystko. Wobec tego Allan napisał, że zgadza się na zaproszenie Eldridge-Devonsów.

W kilka godzin potem Oliwier zatelefonował do niego i zawiadomił go, że następnego dnia będzie musiał iść z nim na obiad i że zajdzie po niego około godziny ósmej.

— Będzie to u Jacka Evansa. Czy już go znasz? Allan słyszał, że Evans to prezes kolei Zachodnich.

— Czy to ten? — zapytał.

— Ten. Jest to towarzystwo nieco śmieszne, ale są tam pieniądze. Przyjdę wcześniej i pogadamy jeszcze o tem.

Ale o panu Evansie usłyszał Allan wcześniej i nie z ust brata, lecz od mrs. Winnie Duval. Zaprosiła go do siebie w sprawie formalności spadkowych. Była to bagatela — jakieś kilkaset tysięcy dolarów po zapomnianej ciotce — gdzieś daleko na Zachodzie.

Formalności nie zajęły wiele czasu. Potem mrs. Winnie zapytała, czy Montague idzie już gdzieś na wieczór. Wtedy Montague wyjechał z nazwiskiem Jacka Evansa.

— Miły Boże! — śmiała się mrs. Winnie. Będzie pan miał wesoły wieczór.

— Czy pani zna Evansów?

— Dzięki niebu, nie. Nikt ich nie zna, ale każdy wie o nich. Mąż mój stykał się z Evansem w sprawach finansowych i powiada, że to przyzwoity człowiek. Ale rodzina, ach, — dziękuję za łaskę!

— Z ilu osób składa się rodzina?

— Stara pani Evans, dwie córki dorosłe i syn. Syn, jak słyszałam, ma zostać znakomitym człowiekiem. Ojciec sam się z nim zajmuje i kazał mu tego pracować. Córki posłał do szkoły *modern* i mogą panu oświadczyć, że są to najsztelniejsze i najwyższalceńsze istoty, jakie zdarzyło mi się spotkać.

— Ale czego chce od nich Oliwier? — zapytał Allan zdziwiony.

— O, on ich nie potrzebuje, ale oni potrzebują jego. Widzi pan są oni ambitni jak obłąkańce! Chodzi im o to, żeby uzyskać wstęp do towarzystwa.

— Sądzi więc pani, że ci ludzie płacą Oliwierowi? — zapytał Allan.

— Tego nie wiem — odparła śmiejąc się mrs. Winnie. — Niech się pan sam o to spyta. Cały tłum ludzi wiesz się koło nich i chwyta skwapliwie wszelki łup, jaki im wpadnie w ręce.

Twarcz Montaguea okryła się bólem. Nagłym ruchem rozprostował ręce.

— Och! zawołała mrs. Winnie, Dotknęłam pana!

— Nie — zaprzeczył — wcale nie. Nie biorę pani tego za złe, Ale niepokoję się o Oliwiera.

— O co panu chodzi?

— Otrzymuje on jakimś sposobem dużo pieniędzy, a ja nie wiem skąd je bierze.

Młoda kobieta przez chwilę wpatrywała się milcząco w Allana. Wreszcie zapytała:

— Czy nic nie miał, przyjeżdżając do New-Yorku.

— Nie wiele — rzekł Allan.

— Poczynał sobie bardzo umiejętnie — mówiła — bo my wszyscy mieliśmy go za bogatego.

Znów nastąpiła pauza. Wreszcie mrs. Winnie rzekła:

— Posiada pan zupełnie inne pojęcie co do pieniędzy, niż ludzie tutejsi. Czy pan wie o tem?

— Nie wiem — rzekł Allan. Proszę mnie objaśnić...

— Zapatruje się pan na pieniądze w sposób nieco staroświecki. Sądzi pan, że trzeba na nie zasłużyć — że są one dowodem, iż się czegoś dokonało. Ale my myślimy o pieniądzach zupełnie inaczej. My wszyscy nie zarobiliśmy swoich pieniędzy: posiadamy je i oto wszystko! Nigdy nie przyjdzie nam do głowy żądać, aby inni je zarabiali. Chcemy tylko widzieć, czy je posiadają.

Montague nie powiedział jej, jak głęboki sens miały te uwagi. Zapanowała chwila milczenia, poczem mrs. Winnie mówiła:

— Ci Evansowie dawniej byli jeszcze zabawniejsi, niż dziś. Przeszłego roku byli oni doprawdy okropni. Mieli z sobą w charakterze sekretarza młodego angiłka — młodszego potomka jakiejś podupadłej rodziny. Brat mój znał człowieka, który bywał u nich częstym gościem, ten mówił, że poprostu trudno było wytrzymać. Ten angiłek zasiadał do stołu i rozdawał na prawo i na lewo przestrogi tego rodzaju: „Miss Marry, widelec powinien leżeć z prawej strony. — Nigdy się nie prosi o drugi talerz zupy, mister Robercie. — Miss Anno, proszę nie trzymać tak blisko łyżki, tak, teraz jest lepiej...”

— Zdaje mi się, że to towarzystwo będzie mnie razić — rzekł Montague.

— A jednak wkrótce już oni osiągną to, czego chcą.

— Tak pani sądzi?

— Z pewnością? Mają pieniądze. Zaczeli grę i wygrają... Mąż mój mówi, że ze starym Evansem zaczynają się liczyć w tęższych kołach finansowych.

Potem mrs. Winnie zaczęła opowiadać o pewnej świetnej, bardzo wpływowej damie, która poważyla się obrazić córkę finansowego magnata. Magnat zemścił się, wypędzając jej męża z intratnej posady. Tak w świecie finansów zdarza się bardzo często. Pozornie walczą z sobą mężczyźni, lecz najczęściej sprężyną poruszającą jest intryga kobieca. Widziano już, jak Wall Street drzała w posadach: była to walka dwóch mężczyzn o metrese. Czasem jakiś mężczyzna dochodzi nagle do wysokich stanowisk i zaszczytów; to jego żona sprzedała się, aby poprzeć jego interesy.

Kiedy Oliwier się zjawił, Allan zapytał go:

— Cóż to, chcesz tych Evansów wprowadzić do towarzystwa?

— Kto ci o tem mówił?

— Mrs. Winnie.

— Co ci mówiła?

Montague powtórzył rozmowę. Widocznie uspokoiło to jego brata.

— Tak źle nie jest — rzekł w odpowiedzi na pytanie Allana. Pomagam im tylko niekiedy.

— W jaki sposób?

— Daję im rady. Mówię im, gdzie mają iść i w co

się ubrać. Kiedy przyjechali do New-Yorku, ubierali się jak papugi. A po za tem...

Oliwier zaczął się śmiać.

— ...Powstrzymuję się od dowcipów na ich koszt... A kiedy inni pozwalają sobie na to, rzucam uwagę że kiedyś Evansowie wybijają się i że niebezpiecznie robić sobie z nich nieprzyjaciół.

— A czy płaca ci za to?

— No lepiej tego tak nie nazywać... Stary przelewa niekiedy kilka akcji na mnie.

— Przelewa kilka akcji? — powtórzył Montague. Słowa brata wyjaśniły mu rzecz całą. W tych kołach, w których swych pieniędzy się nie zarobiło, wszedł bardzo w użycie pewien zwyczaj. Ktoś kupował akcje rzekomo dla drugiej osoby, a kiedy akcje szły w górę, posyłał mu czek na „profit“. Wiele osób, co prostą łapówkę mieliby za rzecz złą, godzili się uprzecznie, jeśli wpływowy przyjaciel ofiarowywał się „przełać na nich sto akcji“. W ten sposób rozwiązywało się w wielkim świecie kwestje kubanów. Pozyskiwano tą miarą wpływowych dziennikarzy, polityków i prawodawców. Kto chciał wejść do towarzystwa, musiał się nieraz w ten sposób opłacić.

— Jeżeli mi się uda — mówił Oliwier — wprowadzić ich do Walhnga, to spodziewam się zarobić okrągły milion...

Na to Allan odpowiedział lakonicznie:

— Rozumiem.

Rozjaśniło mu się w głowie. A więc to tak! To dlatego wydawał Oliwier trzydzieści tysięcy dolarów rocznie na mieszkanie, a drugie trzydzieści tysięcy na ubranie Alicji. Cóż dziwnego, że lepiej spędzić tydzień Bożego Narodzenia u Eldridge-Devonsów, niż siedzieć nad kodeksem!

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł. — Dlaczego chcesz mnie z nimi poznać?

— To ci nie zaszkodzi i doskonale się zabawisz. Widzisz, oni słyszeli, że mam brata. Nie mogę przecież wiecznie trzymać cię w ukryciu, nieprawdaż?

Rozmowa ta toczyła się w drodze do Ewansów. Dom ich stał przy Riverside-Promenade. Na widok budynku Allan wydał okrzyk podziwu. Dom był ogromny jak więzienie.

— No, mają oni dosyć placu! — śmiał się Oliwier.

Mieli plac i mieli pieniądze — to spostrzegł Allan na pierwszy rzut oka. Widziało się obciste spodnie, szkarłatne wyłogi i złote galony — balkony, kominki i wodotryski z marmuru — obrazy francuskich mistrzów i prawdziwe flamandzkie gobeliny. Schody w tym pałacu były kręte i pokryte przepyszным białym dywanem, który bardzo często trzeba było odnawiać. Na najwyższym punkcie schodów leżał biały kaszmirowy kobierzec, który miał „księgę pochodzenia“ od sześciu wieków — i tak dalej, i tak dalej.

A potem weszła rodzina. Ten wybujały kościsty olbrzym z opaloną twarzą i najeżonymi siwymi bakami — to był Jack Evans. Mrs. Evans była niska i okrągła, miała przyjemną twarz i nie za wiele brylantów. Obie wysmukłe panny były wytwornie ułożone i doskonale ubrane.

— Ależ to są zupełnie przyzwoici ludzie! — pomyślał Allan.

Wrażenie to trwało, dopóki nie otworzyli ust. Skoro zaczęli mówić, wyszło na jaw, że Evans był niegdyś górnikiem, a mrs. Ewans — kucharką. A panny Anna i Mary miały głosy bardzo szorstkie i nigdy nic nie robiły ani powiedziały naturalnie.

Poprowadzono braci do wspaniałej jadalni w stylu staroangielskim, z historycznym z kominkiem zamku Fontainebleau czterema potężnymi obrazami przedstawiającymi poranek, południe, wieczór i północ. Nie było innych gości, prócz nich. Stół nakryty w wielkiej jadalni na sześć osób wyglądał jak cacko. I nagle niby w

rzucie błyskawicy pojął Montague co znaczy nie należeć do towarzystwa, nie mieć z kim dzielić tego przeżycia. Posiadać jadalnię w stylu staroangielskim, salony w stylu Ludwika XII, rokokowe biblioteki i widzieć że zawsze są puste, nie mieć z kim pogadać, pograć w karty, kogo odwiedzić, z kim iść do teatru na operę. A co gorzej wiedzieć, że patrzą na ciebie ciekawie i wyśmiewają. Żyć w tym ogromnym pałacu i czuć, że horda uniżonych płaszczących się sług pogardza tajemnie swem państwem! Znosić to z dnia na dzień i codziennie cierpieć nad tem! Mieć świadomość, że coraz szersze kręgi zatacza wzgarda i śmieszność nasza w oczach „towarzystwa“, z jego wszystkimi zwolennikami i pieczeniarkami, z jego małpiarzami i ślepymi wielbicielami!

I kóż postawił temu wszystkiemu czoło, — kto porwał za miecz, żeby złamać zapórę. Montague rozglądał się po tej małej rodzinie i łamał sobie głowę, kto zamyslił to rozpaczliwe przedsięwzięcie.

(D. c. n.)

J. Wł. Dawid.

wyłosi

## Kurs psychologii dla nauczycieli i wychowawców.

w 12 wykładach objaśnionych pokazami i doświadczeniami.

Wykłady odbywać się będą w sali „Uranja“, (Bracka 18) w każdy czwartek i sobotę o godz. 8 wieczorem.

Abonament za 12 wykładów rb. 3. Wykład pojedynczy kop. 40.

Bilety nabywać można w Składzie materiałów piśmiennych, K. Piasecki—Nowy-Świat 21; w red. „Spoleczeństwa“, Żórawia 29, m. 2, tel. 116-67, oraz przy wejściu na salę.

Program wykładów:

1) Zadanie i metody eksperymentalnej psychologii wychowawczej. 2) Zmysły i uwaga. Doświadczalne ich badanie u dziecka. 3) Kształcenie postrzegawczości. 4) Badanie pamięci. Doświadczenia. 5) Cwiczenie pamięci specjalne i ogólne. Sposoby uczenia się. 6) Wyobraźnia, jej badanie i kształcenie. 7) Inteligencja i rozwój umysłowy. Próby inteligencji. 8) Uczucia i ich kształcenie. 9 i 10) Wola i charakter. 11) Okresy, czynniki i tempo rozwoju duchowego. 12) Dzieci nienormalne.



### FOSFATYNA FALIERA

przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy dla dzieci od 6-u miesięcy do 10-u lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. Ułatwia żabkowanie i zapewnia prawidłowy rozwój kości. — Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

Ostrzegamy przed naśladowictwami





# ZEGARMISTRZ

## Jan Jeznacki

długoletni współpracownik p. Woronieckiego  
Nowy-Swiat 43 „Renaissance“ w po-  
dwórzu. Telefon 122-42.

Poleca: zegary, zegarki kieszonkowe, budni-  
ki, dewizki kompozycyjne. Wszelkie roboty wy-  
konywa sumiennie najtaniej.

**N**auczycielka z wyższym wykształ-  
ceniem pedagogicznym  
udziela lekcji języka polskiego, literatu-  
ry i historii w szkołach i prywatnie.  
Wiadomość Żórawia 29 m. 2.

## Kurjer Kolejowy i Asekuracyjny

Pismo poświęcone sprawom asekuracyjnym kolejowym i ekonomicznym  
WYCHODZI 1-go i 15-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Wydawnictwa rok trzynasty.

Jedyny organ specjalny polski, będący obra-  
zem życia kolejowego i asekuracyjnego.

**PRENUMERATA** w Warszawie: rb. 4, za odno-  
szenie do domu kop. 60, na prowincji, w Cesar-  
stwie i zagranicą rb. 5.

Redakcja i Administracja: Trębacka 4.—Tel. 37-95.

**J**an Bełcikowski udziela lekcji języ-  
ka polskiego i lite-  
ratury polskiej. Chmielna 20 m. 5.

## SKŁAD

UŻYWANYCH MASZYN PRZEMYSŁOWYCH

## Tadeusz Rychter

Warszawa, Okopowa 21, tel. 31-51.

## Student matematyki

poszukuje lekcji na wsi, przygot. do  
zakł. naukowych, lub na maturę, kla-  
syk. zna język niemiecki.

Adres: Петерб. Вас. Остр. 10-ая л. д. 27 кв. 6.  
студ. Гульбинь.

Parasole, parasolki, laski

własnego wyrobu w wybornych  
gatunkach

\*\*\* Pokrycia i Reparacje \*\*\*

najtaniej

## Franciszek Ryczer

ulica MARSZAŁOWSKA 101.

Mączka

Mleczna

# NESTLE'a

ZAWIERA NAJLEPSZE MLEKO

ALPEJSKIE

JEST IDEALNYM POKARMEM

DLA NIEMOWLĄT

»PIELĘGNOWANIE DZIECKA«, RADY LE-  
KARSKIE DLA MATEK D-ra F. VIDAL'A  
DO OTRZYMANIA BEZPŁATNIE W AP-  
TEKACH i SKŁADACH APTECZNYCH.

## OD KASZLU I CHRYPKI

zalecają lekarze

**Fay'a prawdziwe Sodeńskie mine-  
ralne pastylki.**

Cena pudełka 70 kop. Do nabycia we wszyst-  
kich aptekach i składach aptecznych. **Żądać**  
wyraźnie zielonych pudełek z objaśnieniami w jęz.  
polskim i rosyjskim.

Angielskiego języka udzielam, wiadomość  
w Red. „Społeczeństwa“.